

MŁODZIEŻ SERAFICKA

R o k I.

N — r 4.

Organ uczącej się młodzieży Prowincji OO. Bernardynów.
Wychodzi 15 każdego miesiąca.

Grudzień.

Redakcja i administracja:
Radecznicza, Kolegium, lubelskie.



Podnieś rączkę Boże Dziecię,

Błogosław Ojczyznę miłą...

ZE ZBIORÓW
Dra ZYGMUNTA
KLUKOWSKIEGO

Chrystus się rodzi...

W Rzymie w świątyni Jowisza na Kapitolu unoszą się wonne dymy z kadzielnicy, krew ofiar na spływa z ołtarza, kapłani zanoszą modły do swego boga-bałwana o pokój i szczęście dla państwa rzymskiego. Zda się, że ten cielec ze złota stał będzie zawsze. — Cesarz, imperator świata, to drugi bóg pogaństwa, przed którego tronem każdy się korzy, wszystkie ludy ślą mu daniny, każdy szczep, będący pod jarzmem wszechwładnej Romy musi w nim uznać pana życia i śmierci.

Rzym szaleje — w kołach patrycjuszów zabawom i rozpuście nie ma końca, w bogów się nie wierzy, upadek moralności i rozwiążność obyczajów zupełna — szatan panuje. — Plebs pozostający w biedzie i nędzy ostatniej ugania się za najniezbędniejszymi potrzebami życia codziennego, bogom złorzeczy i pozostaje dalej w niepewności o swój przyszły byt.

A wśród tej masy zwyrodniałej tylko mała część, t. zw. „bojący się Boga” żyją według praw natury, oczekują czegoś, tęsknią za jakimś wybawieniem.

Judea jęczy w kajdanach i płaci haracz cesarzowi. Wśród wybranego narodu pojawiają się coraz częściej głosy, że z ucisku wybawi ich tylko mesjasz, zapowiadany przez proroków. — W Jerozolimie w świątyni prawdziwego Boga arcykapłan ubrany w świąteczny efod¹⁾ składa ofiarę, modląc się za lud. Z pożółkłych kart księgi odczytuje proroctwa o mesjaszu i zwrócony ku miejscu najświętszemu, błaga Boga, aby raczył pocieszyć Izraela.

Hen, w ustroniu, na pastwiskach betlejemskich w opuszczonej przez pasterzy, szopie rodzi się w zimną noc grudniową Dziecię, Dziecię, które w przyszłości stanie do walki ze złem, podniesie moralność świata, zwycięży i rozgromi królestwo czarta na ziemi. Dziecię to, to Jezus, to

¹⁾ Szata pontyfikalna.

Mesjasz, którego Bóg obiecał i na którego ludzkość czekała. — Na pierwsze wejście miała i słaba to dziecina, ale w rzeczywistości potężny Król wieków — Pan, który nie zna początku i końca mieć nie będzie.

Syn cieśli, należący do najuboższej klasy ludzi, Jezus przez swą naukę stanie do walki z pogaństwem, zwycięży i pokona wszystkie błędne systemy i zapatrywania ówczesnych. Na podobój świata pośle prostych rybaków, którzy dokonają przeobrażenia imperium rzymskiego, a na jego pogańskich gruzach wybudują świątynię prawdziwemu Bogu. Zwycięzą, bo pośle ich Chrystus, bo nauka ich z Boga będzie.

Dziś, gdy przez pryzmat 20-tu wieków patrzymy na ową tajemnicę betlejemską, budzi się w nas jakaś szczerza radość; misterium Wcielenia wywołuje w nas jakiś dziwny nastrój, budzi odruch serc naszych, które skołatane i bytujące wśród życiowych konwenansów, u żłóbka szukają przystani i pokrzepienia.

Uroczystość Bożego Narodzenia, nasuwa nam mimowoli myśli, czy i dziś, jakkolwiek dwa tysiące po przyjściu Chrystusa nie spotykamy w naszym życiu społecznym podobnych stosunków, jakie miały miejsce przed narodzeniem Boskiego Zbawcy.

Ze smutkiem musimy powiedzieć, że i dziś szatan założył na ziemi swe księstwo, i dziś stan moralności społeczeństwa pozostawia wiele do życzenia, i dziś czi się złotego cielca, któremu na imię materializm, komunizm czy ateizm.

A gdzież nauka Chrystusowa? — Gdzież odrodzenie dokonane przez Boskiego Posłańca?... Człowiek nim wzgardził, człowiek je zaprzepaścił!

Idźmy więc do żłóbka, zbliźmy się do Boskiej Dzieciny i, jeżeliśmy się sprzeniewierzyli Boskiej nauce, prośmy o nawrócenie. Jeżeli zaś idziemy jeszcze drogą wytkniętą przez naszego Mistrza, to dziękujmy i błagajmy, abyśmy mogli na niej wytrwać do końca, boć w ten tylko sposób możemy wywiązać się ze swego zadania życiowego i osiągnąć cel wieczny.

Fr Hieronim Wyczawski.

E. Kowalczuk
IV kl. kol.

Bo w noc tę Słowo Ciałem się stało

*Widziałem w poświacie księżycy drżącej
Gdzieś utopioną w śniegu tumanie
Stajenkę jasną jak serce płonące
A z niej płynęło precudne śpiewanie.*

*Gloria leciała nad gajem nad rzeką
A wewnątrz Jezus wyciągnął swą rękę
Nad głowy sierot, nad tzy co im cieką
I błogosławił ich płacz i ich mękę.*

*Widziałem później aniołów lecących...
A wokół dzwony grały noc całą
Wyschły tzy wszystkich — znikł ból cierpiących
Bo w noc tę Słowo Ciałem się stało.*

Być chrześcijaninem, znaczy być misjonarzem¹⁾

Przedwieczny Bóg, nieograniczona doskonałość, najwyższe dobro, nieskończona mądrość od wieków żył życiem wewnętrznym, życiem dobra i czynu, życiem prawdy i miłości, życiem bezbrzeżnej boskiej doskonałości. I jeszcze ziem fasady nie istniały, jeszcze gwiazdy swej drogi nie znały, biedny twór człowieczy nie miał jeszcze swego pierwowzoru — już Bóg w Trójcy jedyny poznawał i był poznawany, miłował i był miłowany.

Bóg Ojciec poznawał prawdę, poznawał dobro i poznał się w Swym Synu Boskim — a Syn Boży poznany przez Ojca był odblaskiem i odbiciem Jego. Nikt tak Syna nie znał jak Ojciec i nikt tak Ojca nie znał jak Syn. Ale jak fale powietrza głosu nie zatrzymują, lecz go niosą w dal, jak kręgi wody, po wrzuceniu kamienia, płyną jedna za drugą po przejrzystej przestrzeni jeziora aż do ostatnich granic — tak i dobro Boże nie mogło pozostać li tylko w życiu wewnętrznym Trójcy św. — Ono musiało się przebić na zewnątrz, musiało się okazać w swej boskiej szacie na świecie. Dobroć więc Boża była przyczyną powstania świata. Najwyższa mądrość wszechświat obmyśliła i nadała mu prawa, Trójca zaś Przenajświętsza wyznaczyła Władcę i Pana wszechstworów — Syna Bożego; a ten, chcąc zaszczerpić na ziemi poznanie Najwyższego Dobra i wzniosłej boskiej Miłości, chciał stać się Chrystusem, Bogiem — Człowiekiem.

Chrystus miał udoskonalić świat. Dla świata miał być nie tylko Panem, ale Mistrzem. Chrystus, miał okazać ludziom niejedną rzecz dobrą, światu nieznaną. Więc Chrystus miał ludzi uczyć; miał być nauczycielem, apostołem, misjonarzem świata nawet tego, który by nie był zwalany grzechem odstępstwa od Boga.

Ale stało się inaczej. Człowiek upadł, oddalił się od Boga, utracił widok Jego, przestał być pięknym Bożym obrazem. Rozum człowieczy i tak niedoskonały, jeszcze bardziej został zaciemniony; prawa i prawdy Najwyższego przystoniły nieprzebite czarne chmury płytkiego rozumowania człowieczego; wola pozbawiona podstawy i silnego fundamentu łaski przekreśliła przykazania, odstąpiła od nich, stworzyła nowe wręcz przeciwne prawa. Na świecie powstało państwo kłamstwa i przewrotności.

A Chrystus? — ten, który miał być misjonarzem ludzkości bezgrzesznej? Chrystus przyszedł na świat. I jeżeli jeszcze przed grzechem miał ludziom głosić dobro Swego Ojca, jeżeli przedtem miał zstąpić na ziemię, by być nauczycielem, apostołem i misjonarzem — to zwłaszcza po grzechu Adama zaszła tego potrzeba! Dlatego to Chrystus, jako Chrystus, nie mógł nie być misjonarzem.

Twierdzenie śmiałe, lecz pewne i jasne. Przecież On tylko miał doskonałe poznanie Ojca;

przecież On tylko przejął Jego prawdę, Jego prawa i przykazania; przecież On pierwszy umiłował Swego Ojca nade wszystko. Więc kiedy przyszedł na ziemię i widział przykazania zgwałcone, prawa przekreślone, a prawdę Bożą wypaczoną; kiedy widział, że lud Boży, Boga nie zna i dlatego Go nie kocha i nie miłuje — serce Jego Mu podyktowało, że znając Ojca niebieskiego, Chrystus powinien ludziom głosić o Nim; miłując Ojca, koniecznie powinien się starać, by stworzenia Go umiłowały, a kochając ludzi jako człowiek, musiał dać ludziom poznać Boga, który jest dla nich celem, prawem i żywotem. — Chrystus po upadku Adama musiał być misjonarzem. Znając Swe posłannictwo Chrystus rozpoczął swą pracę apostolską. Dobrał sobie uczniów, wykształcił ich, przygotował na trudy przyszłego życia. A później... później kazał zapuścić sieci na głębię i łowić dopóty, dopóki by do sieci jakaś ryba nie wpadła: „Duc in altum” — wyjedź na głębię i zapuść sieci do wody”. — Ale i to zamało! Cóż mogła znaczyć ta garstka, tych dwunastu? — Więc zbiera innych, porusza serca, sprowadza na górę galilejską i tam w imię swej mocy i władzy wysyła ich na cały świat, by nauczali.

„Idąc tedy na cały świat nauczajcie wszystkie narody”. Chrystus kreśli kierunek i mówi wyraźnie, że nie jedna ziemia, nie jeden naród, ale świat cały stoi otworem, — na cały świat mają skierować swe kroki i cały świat mają podbić dla prawdy Jego Ojca, którą Syn Człowieczy na świat przyniósł.

Nie wyszczególnia jednak Zbawiciel ludzi, którzy mają pogan nawracać, a uczynił to w tym celu, żeby przed każdym widniała ta złota idea, której należy się oddać jako całkowite spalenie w ofierze, by tylko włożyć cegiełkę do nieśmiertelnej budowy naszego królestwa Bożego.

Z boleścią patrzył Zbawiciel na biedną ludzkość spragnioną światła i prawdy i nie wystarczyło Mu posłannictwo tych kilkuset wiernych zebranych na górze galilejskiej, bo zbyt mało ich było, by mogli żagiew świata wiary Chrystusowej zapalić na stosie grzechu; za mało było tych, którzy mogliby wrzucić w czarną glebę serc pogańskich czyste ziarno prawdy: dlatego też każe się modlić. — „Proście tedy Pana żniwa, by wysłał robotników do Winnicy Swojej” bo „żniwo gotowe, ale robotników mało”.

Ten, kto otrze łzę sierocie i przytuli ją do łona, Więcej czyni niż co krocie wytnie, zniszczy i pokona Większa chwała tego męża, co zaszczerpia i buduje, Niżli co mocą oręża wszystko niszczy i rujnuje.

GASZYŃSKI.

Bo czyż może nad litość być świętsza powinność? Cóż człeka z Bóstwem równa? oto dobroczynność.

J. N. KAMIŃSKI.

¹⁾ Referat wygłoszony na akademii misyjnej w Kolegium.

Zrozumieli pierwsi chrześcijanie wezwanie Chrystusowe, wiedzieli, że przed nimi cały świat stoi otworem, pojęli swe posłannictwo — i poszli wtedy nawracać dusze dla Chrystusa, a sami, w pocie czoła pracując, modlili się o większą ilość pracowników w Winnicy Pańskiej. I nie mogło być inaczej. Przecież Chrystus nie mógł nie głosić prawdy o swym Ojcu. Bo oni, ci pierwsi wierni, czym byli? Jak się nazywali? — Zwano ich chrześcijanami, czyli naśladowcami Chrystusa. W takim wypadku razem z imieniem przejęli oni od Chrystusa i to, że muszą głosić prawdę o Ojcu niebieskim, której poganie nie znali. A zresztą posiadając skarb żywej wiary, wiary, która przeistacza człowieka, która daje mu spokój u-
pragniony i wyznacza sercu ludzkiemu cel, czyż Ci — miłośnicy bliźniego aż do zaparcia i zniweczenia siebie samych — mogliby stać się takimi egoistami, by mieli ten skarb zamknąć w sobie i nie odkryć przed innymi, a przez to stać się odpowiedzialnymi za dusze szeregu tysięcy jednostek? Powiedział przecież Chrystus: „kto nie uwierzy... nie będzie zbawiony”.

O nie! Nie byli oni egoistami i za bardzo bliźnich kochali, a jeszcze więcej kochali ich dusze. Oni znali Chrystusowe posłannictwo, oni pojęli znaczenie chrześcijaństwa, oni wiedzieli czym jest wiara dla serca ludzkiego — dlatego wszyscy, bez wyjątku byli misjonarzami słowa, misjonarzami czynu, misjonarzami przykładu.

Oni byli chrześcijanami.

Drodzy Mali Misjonarze! Kochani Koledzy!

My też nosimy znamie Chrystusa, my też zwiemy się chrześcijanami, do nas także odnoszą się słowa posłannictwa Zbawicielowego, my jesteśmy synami pierwszych wiernych chrześcijaństwa, my mamy prawdę, wiarę i nadzieję lepszej przyszłości — więc na nas ciąży obowiązek, byśmy byli misjonarzami.

Chrystus to tyle, co wódz misjonarzy. Chrześcijanin prawdziwy to tyle co misjonarz, apostoł, nauczyciel. Więc dalej do dzieła! Stańmy się chrześcijanami, a będziemy misjonarzami słowa, czynu, przykładu; nie tylko gdzieś hen; w dalekich krajach, ale wszędzie gdzie się znajdziemy.

Chrystus musiał nauczać!

Chrześcijanin musi być misjonarzem!

Czyśmy gotowi?

Rozważania Noworoczne.

Wszystko zdaje się wskazywać na to, że Polska została powołana przez Stwórcę dla spełnienia szczególnego posłannictwa na świecie. — Dla przykładu weźmy choćby Jej zmartwychwstanie w warunkach tak nieprzychylnych. Trudno się oprzeć więc myśli o widocznej interwencji Bożej w stosunku do nas, okazanej nam zwłaszcza podczas „Cudu nad Wisłą”, oraz to wszystko, czego Polska dokonała w ciągu dwudziestu lat niezależności państwowej, zaczawszy od utworzenia

Kto miłosierny dla drugich w potrzebie,
Znajdzie zapłatę niezawodną w niebie.

Ks. Schmidt.

Bądź miłosiernym dla bliźniego bracie,
To i Bóg będzie miłosierny na cię.

Baranowicz.

Bo ludzie mają ten nakaz z nieba:

„Dla biednych, słabych litość mieć trzeba”!

Jachowicz.

potężnej armii, zorganizowania skarbu, wybudowania Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, a skończywszy na odzyskaniu Śląska Cieszyńskiego.

Bóg za przyczyną Najświętszej Marii Panny Królowej Polski namacalnie błogosławi wszystkim naszym poczynaniom. I miejmy nadzieję, że nadal będzie nam błogosławił i sprawi to, że będą nas szanowały i słuchały postronne narody, że pozbędziemy się zmory żydowskiej i komunistycznej, że każdy Polak będzie miał zapewnione środki do utrzymania życia i rozwoju ducha w atmosferze zdrowej, opartej na religii chrześcijańskiej, kultury narodowej!

Ale czy Pan Bóg ma nam dać wszystko, a my Jemu nic? Wszak sam Boski Nauczyciel powiedział, że komu dano więcej, od tego więcej domagać się będą, że jeśli rosną dary, to równocześnie rośnie i odpowiedzialność za nie!

W zamian za te nieocenione dobrodziejstwa Polska ma się przyodziać w królewski płaszcz bohaterskiej świętości!!!

Święte, bo na ewangelicznej miłości i sprawiedliwości oparte, mają być jej prawa, jej polityka i rozdział dóbr między obywateli, święte mają być rodziny polskie, święte ma być wychowanie dzieci; znamie świętości ma na sobie nosić wiedza, literatura, sztuka — zadaniem ich ma być rozwój i udoskonalenie ducha ludzkiego.

Pionierem tej świętości ma być młode pokolenie powojenne — a przede wszystkim ci, których Bóg powołał, czy powołuje na służbę ołtarzy.

Podobnie jak pokolenie przedwojenne zbudowało Polskę na gruzach i zgłiszczach ofiarą swej krwi, tak obecna młodzież ma zbudować Polskę Świętą — Polskę Chrystusową zaparciem się siebie, miłością Boga i bliźniego.

Wyroki dziejowe — stawiające Polskę między dwoma potężnymi państwami o wręcz przeciwnych światopoglądach i ustrojach społecznych, a wrogich religii chrześcijańskiej — wskazują jej, że ma się stać żywą pochodnią czynu katolickiego, podporą Kościoła, bastionem wiary, która by z niej promieniowała na wszystkie strony — na cały świat!

Bądźmy przekonani, że czy wcześniej, czy później Rosja Sowiecka otworzy swe bramy prawdziwej wierze i że tę wiarę będzie winna Polska jej zanieść — Polski obowiązkiem będzie zaprowadzenie zbłąkanej Siostry — Rosji w objęcia Kościoła Katolickiego.

Dlatego już dzisiaj musi się ona sposobieć do tego wielkiego dzieła. Dziś Polska, jak to pięknie powiedział nasz kochany Naczelnny Wódz Mar-

szalek Śmigły-Rydz, musi wybrać między wielkością a małością. Dziś musi ona — a przede wszystkim jej kwiat — młodzież — zdecydować, czy chce iść drogą chwały, drogą triumfu, drogą ofiary i zaparcia się siebie, czy chce przodować innym narodom, czy chce prowadzić je do Królestwa Bożego, lub też przeciwnie, czy może zechce być „pawiem i papugą narodów” — naśladowczynią ich głupstw i błędów, kopciuszkiem, którego każdy „z miłości obdarza kopniakiem”!

Z Nowym Rokiem staje przed nami Chrystus, staje Królowa nasza Najśw. Maria Panna, staje dawna bohaterska Polska, opromieniona chwałą przedmurza chrześcijaństwa i wreszcie stają przed nami zaniepokojone, zazdrosne o nasze wybranie inne narody i pytają nas, czyśmy gotowi do podjęcia się wzniosłego trudu, czyśmy gotowi wprowadzić w życie zasady ewangeliczne, czyśmy wreszcie gotowi powiedzieć sobie: „Od dziś ideałem i celem naszym osobista, prawdziwa świętość i Polska Chrystusowa...”

BUDZISŁAW.

Hej kołęda, kołęda

Oto refren, który co roku w okresie Bożego Narodzenia śpiewa cała Polska jak długa i szeroka; refren odziedziczony po praojcach, jako nieoceniony pielęgnowany i kochany przez setki pokoleń polskich skarb narodowy; refren rozbrzmiewający tak po dworach i połaciach jak i po zapadłych wioskach czy wielkich miastach.

Kołęda polska mimo wiekowego przedawnienia posiada specyficzny, zawsze świeży urok i jest dla nas w okresie świątecznym pieśnią radosną i upragnioną. — Mimo to jednak trzeba stwierdzić,

smutną rzeczywistość, że społeczeństwo nasze mało wie o tych perłach, które w swym skarbcu posiada. I właśnie artykuł niniejszy ma na celu zapoznać nas bliżej z kołędami i rozbudzić w nas większe dla nich zainteresowanie.

Jeśli chodzi o nazwę „kołęda”, to tonie ona w mrokach przeszłości. Co do jej pochodzenia istnieje wiele przypuszczeń. Według jednych nazwa ta pochodzi od starego bóstwa pogańsko — słowiańskiego „Kolady”, czczonego przez uczty, zabawy i śpiewy. — Inni znowu nazwę „kołędy” wywodzą od rzymskich „Calendae Januariae”, czyli Nowy Rok, noszących charakter wesołego, hulaszczego, przepełnionego ucztami i śpiewami święta na cześć boga Janusa.

Ponieważ kościół katolicki w starożytności, a także i w średniowieczu, liczył początek Nowego Roku od Bożego Narodzenia, t. j. 24 grudnia, rzecz więc jasna, że tradycje klasycznego Rzymu, na których wychowały się narody europejskie, wniosły do języka wielu ludów przekształcony wyraz łaciński „Calendae” na kołędy, którym nazywano ogólnie święta Bożego Narodzenia.

Z wesołego, hulaszczego charakteru rzymskich „Calendae Januariae” chrześcijańska „kołęda” czyli Boże Narodzenie zatrzymało tylko uczty zabawy, składanie życzeń, podarków i śpiewy.

Te śpiewy czerpiące swą treść z narodzenia Chrystusa otrzymały tąż samą nazwę. Tak więc wyraz „kołęda”, brany ogólnie, oznacza B. Narodzenie, a szczegółowo pieśni na cześć Nowonarodzonego Mesjasza.

Wskazać czas powstania pierwszych kołęd jest trudo. Wiemy jednak, że właściwy charakter i znaczenie nadał im św. Franciszek Seraficki, Urządził on w r. 1223 w Greccio pierwsze jasełka, przy których wprowadził zwyczaj śpiewania pieś-

O. EMIL SEROKA.

Czasy świętego Franciszka z Asyżu

12. Św. Franciszek a kaznodziejstwo.

Niezawsze wesele promieniowało z oczu Franciszka, niezawsze bez troski uśmiech widniał na jego twarzy, nie zawsze spokój wewnętrzny wypełniał mu serce; miał i on chwile smutku i walki, miał i on swe rozterki duchowe i niepewności. Pokonał wprowadzić siebie samego, stał się nowym człowiekiem, założył Zakony, pociągnął drugich na drogę doskonałości; tym którzy szli za nim, zabronił cokolwiek mieć na własność, rozkazał im poprzestawać na małym; pragnął, by byli wesołymi nawet w cierpieniu, by pomagali bliźnim; żądał, by pracowali nie dla zapłaty.

Ale czyż by na tym miał już poprzestać? Czyż by już od niego więcej Bóg nie żądał? Czyż by na ziemi nie było już innego pola działania jak własne udoskonalenie i wskazanie drogi

tym, którzy do niego przyszli? Czego jeszcze żądał Chrystus od niego? — Oto wątpliwości i niepokoje, które mroziły wesołe spojrzenie jego oczu, które poorały zmarszczkami uśmiechnięte oblicze, które spędzały sen ze znużonych jego powiek. Polegać na sobie nie mógł, gdyż sobie nie ufał; pytać wprost Pana Boga nie śmiał, bo czuł się nędznym, niegodnym stworzeniem, postanowił więc szukać pomocy i wskazówek u innych, według swego mniemania, więcej Bogu miłych i od Niego więcej uprzywilejowanych.

„Drogi Bracie Masseuszu idź do siostry Klary i brata Sylwestra; poproś ich ode mnie, mech swą potężną modlitwą uproszą u Pana łaskę, bym poznał wyroki Jego, niech mi oni powiedzą co mi czynić należy; czy mam się zamknąć przed światem i tam czyniąc pokutę, myśleć jedynie o swoim zbawieniu, czy też może mam pożegnać niezamącony spokój nieznanego nikomu ustronia i pójść między ludzi, by im Chrystusa z powrotem ogłosić”.

ni o Bożym Narodzeniu. Tak więc Zakon Braci Mniejszych jest pierwszym twórcą jasełek i kolęd.

W Polsce spotykamy się z jasełkami i kolędami poraz pierwszy w połowie XV — tego stulecia. Przynieśli je do nas Bracia Mniejsi. Oni też byli ich największymi propagatorami na ziemiach naszych. Historia stwierdza, że największe zasługi na tym polu położyli OO. Bernardyni. Jednemu z nich, mianowicie bł. Władysławowi z Gielniowa przypisują bardzo dużo kolęd. — Wczasy świąt urządzali Bracia Mniejsi w kościołach misteria, jasełka urozmaicone kolędami śpiewanymi po łacinie. Ponieważ lud polski, z wielkim zapalem garnął się do tych jasełek, a nie rozumiał po łacinie, poczęto więc tłumaczyć kolędy łacińskie na język polski, a z biegiem czasu tworzyć nowe, oryginalne w języku i o charakterze polskim.

Od tej chwili, że tak powiem, kolęda polska schodzi pod wiejskie strzechy. Tu czuje się swojsko — tu jest otaczana miłością naszego ludu — tu wzrasta w liczebność, obfitość treści i bogactwo formy — tu kształtuje swój charakter wybitnie polski i ludowy, — a twórczość na tym polu była u nas tak wielka i obfita, że żaden naród nie może poszczycić się taką liczbą i tak pięknymi, a niekiedy wspaniałymi kolędami, jak właśnie naród polski. Przejdźmy do istoty kolęd. — Czemże jest kolęda?

Kolęda w ścisłym tego słowa znaczeniu to pieśń religijna, której głównym motywem jest tajemnica Bożego Narodzenia.

Najważniejszym źródłem, z którego czerpali treść twórcy kolęd, były wiadomości podane w ewangelii św. Mateusza i Łukasza, rozdziały drugie.

Te jednak skąpe bądź co bądź wiadomości nie wystarczały umysłom obdarzonym bujnym uczuciem religijnym i wielką wyobraźnią. Usiłowa-

no fakt Narodzenia Chrystusa Pana ubrać w szaty bardziej przystępne. Stąd posiadamy wielką ilość apokryfów, t. zn. nieuznanych przez Kościół za autentyczne opowiadania o życiu Chrystusa. I właśnie te apokryfy, a przy tym samo życie z jego dolą i niedolą stanowiło drugie, niewyczerpane i częściej używane niż pierwsze źródło dla twórców kolęd.

Jeśli chodzi o autorów naszych kolęd, to w przeważnej części byli nimi ludzie prości jak linicy, słudzy kościelni, rybacy albo też ludzie wykształceni, ale wśród ludu pracujący, jak księża świeccy i zakonnicy. Nic dziwnego, że ludzie ci pisali na modłę swego codziennego życia. Nic dziwnego, że widzieli szopkę betlejemską taką, jakiej wzory mieli przed sobą na każdym kroku. — Nic też dziwnego, że ci domorośli poeci, stykający się ustawicznie z pasterzami, których życie znali na wskroś, spolszczyli pasterzy i szopkę betlejemską zupełnie. — Ze względu na treść i charakter naszych kolęd, możemy je podzielić na trzy grupy.

Do pierwszej grupy należą kolędy apokryficzne z przewagą elementów fantastycznych — cudownych.

Każdy, najdrobniejszy nawet szczegół dotyczący Dzieciątka staje się tematem w tych kolędach. Sukienka Jezusa, zmarznęte rączka, pieluszki, a nawet siano, na którym jest złożony, budzą uczucia wiary i uwielbienia.

Do drugiej grupy należy większość naszych kolęd zw. pastorałkami. Nazwę pastorałek otrzymały dlatego, że bohaterami w nich są przeważnie pasterze. Ponieważ odtwarzają one duszę naszego narodu z nadzwyczajną dokładnością i plastycznością, dlatego poświęcimy im więcej miejsca. I tak ktoś śpiewając „Bracia patrzcie jeno...”, nie widzi naszego śmiałego, dziarskiego, pełnego tem-

Wierny i posłuszny poleceniom Ojca poszedł brat Masseusz do siostry Klary i brata Sylwestra, poprosił o modlitwę do Boga i wskazówki dla swojego Mistrza i przyniósł Franciszkowi ich odpowiedź twardą jak granit, a pewną jak Ewangelia: Franciszku, łaska, którą otrzymałeś od Boga, nie jest tylko dla Ciebie samego, ona bowiem należy do wszystkich; droga twoja po której kroczysz, też nie jest jedynie drogą twoją własną — po tej drodze zbawienia mają iść również inni ludzie. Nie dla ciebie życie spokojne w samotnej ciszy, nie tobie myśleć o własnej tylko duszy. Dla ciebie trud, znój i praca na ugorze zgiełkliwych serc świata”.

I chociaż serce się rwało do Rivotorto i do doliny Rieti; chociaż chętniej byłby spoczął na górze Orlanda Alwerni, lub na samotnej wysepce jeziora Trazymeńskiego — to przecież wola Chrystusa była jasna i pewna: „Idź na cały świat, a idąc nauczaj”.

Usłuchał Franciszek rozkazu tego i stał się apostołem nie tylko przykładu, miłości i ubóst-

wa, lecz także pionierem zdrowego, prostego słowa ewangelicznego, Poszedł Franciszek nawracać świat dla Chrystusa.

Z głębokim przekonaniem i z pełnym zrozumieniem przemawia Franciszek na placach miast i osiedli włoskich, a echo słów jego, niby balsam leczniczy do serc spływało słuchających, rozpraszało ciemności, wyjaśniało pojęcia, podnosiło ducha i leczyło rany.

Dziwne były jego nauki i kazania. Różniły się one od wykładów Ewangelii, jakie pasterze parafii miewali do ludzi w formie łacińskiej; nie były to nauki zaczerpnięte z ksiąg homiletycznych, jakie kursowały w tych czasach; nie wpólnego nie miały z jakimiś uczonymi wywodami, ani z dogmatycznymi sylogizmami — Franciszek mówi językiem potocznym, słowem prostym, treściwym, ewangelicznym.

Nie stara się On o poklask u ludzi. Obowiązek ewangelizacji nie jest dla niego ciężarem, od którego należałoby się jak najprędzej uwolnić. Głoszenie słowa Bożego do ludu jest dla

peramentu i pewności siebie mazura? Kto nie widzi szczerzej, niekłamanej, rozpierającej piersi, a cechującej szczególnie nasz lud — radości w tej kolędzie :

Hej w dzień narodzenia Syna jedyne-
go Ojca przedwiecznego, Boga prawdziwego,
Wesoło śpiewajmy, Chwałę Bogu dajmy
Hej! kolęda, kolęda!

Zdolny jest nasz lud do rzewności, czułości i troski tak dalece, że nawet zapłacz na widok ubogiej, drżącej i płaczącej z zimna Dzieciny, jak to widać w kolędzie: „Jezus malusieńki...”

Ale nasz lud potrafi się śmiać, a jak się śmieje to już całą duszą i całym sercem. Widzimy to dokładnie w dialogu z żydem lub w innych kolędach opiewających różne śmieszne przygody pasterzy. Są też między polskimi pastorałkami, specjalnie regionalne; kaszubskie czy krakowskie.

Kaszubskie obok humoru wnoszą i praktyczność tego ludu.

Gdybyś się w naszych Kaszubach rodził
Nie takbyś się był Jezuniu zagłodził...
Na pierwsze śniadanie miałbyś przysmażanie
Z masłem bułeczkę, miodu szklaneczkę...

Dowcip i beztroska radość tryska z następującej krakowskiej kolędy:

Jezus maluśki, złe ma pieluszki
Matuchna by mu je naprawiła
Tylko, że w sianku igiełkę zgubiła.
A Józef stary przez okulary
Patrzy i świeci Panu nieboraczek
Podaje Matce stary powijaczek.

Omawiane tu zbyt ogólnie „pastorałki” stanowią w naszych kolędach bezwzględną większość i zasługują na specjalne studia.

Do trzeciej grupy naszych kolęd zaliczamy te, które posiadają charakter pieśni wybitnie nabożnych, w których głównym elementem są moty-

wy religijne. Odznaczają się głębią uczucia religijnego i piękną formą. Należą do najpiękniejszych i najgłębszych utworów w polskiej hymnicy kościelnej. Dość przytoczyć takie kolędy jak „Bóg się rodzi, moc truchleje...” lub „Gdy się Chrystus rodzi...”, „Ach ubogi żłobie...”, by mieć pojęcie o potędze uczuć, grze słów, plastyce i piękności formy kolęd z tej ostatniej grupy. — Autorami ich byli ludzie wykształceni, poeci, jak Kochanowski, Karpiński, Słowacki, Lenartowicz, ks. Antoniewicz i inni. Kolęd tych jednak jest nie wiele.

Wśród melodii kolędowych znajdziemy wszystkie możliwe typy melodii ludowych, przede wszystkim tanecznych, jak mazury, obertasy, krakowiaki, tańce góralskie, rzadziej polonezy i menuety.

Wspomniana forma menuetu arcywyraźnie zachowała się w takich kolędach jak „Pan z nieba i z łona...” lub też „Pasterze drzymali...” Przykładem kolęd polonezowych są takie jak „W żłobie leży...”, lub „Bóg się rodzi...”

Znajdziemy wśród melodii kolędowych i marsze jak „Pójdźmy wszyscy do stajenki...” lub też chorały np. „Anioł pasterzom mówi...” Większość jednak melodii kolędowych to, jak już wspomnieliśmy, obertasy, mazurki, krakowiaki i kołysanki w rodzaju takich jak „Lulajże Jezuniu...”, „Jakże licha...”, lub „Jezus malusieńki...”

W wieku XVIII liczba naszych melodii kolędowych jest tak liczna, że wynosi blisko 400. pod-

Dobrze że duszę w modłach podnosisz do nieba
Ale żyć przede wszystkim po Bożemu trzeba

Ks. A. Krasieński.

Ile razy się modlisz, podnosić ci trzeba
Nie tylko wzrok i ręce, lecz i myśl do nieba.

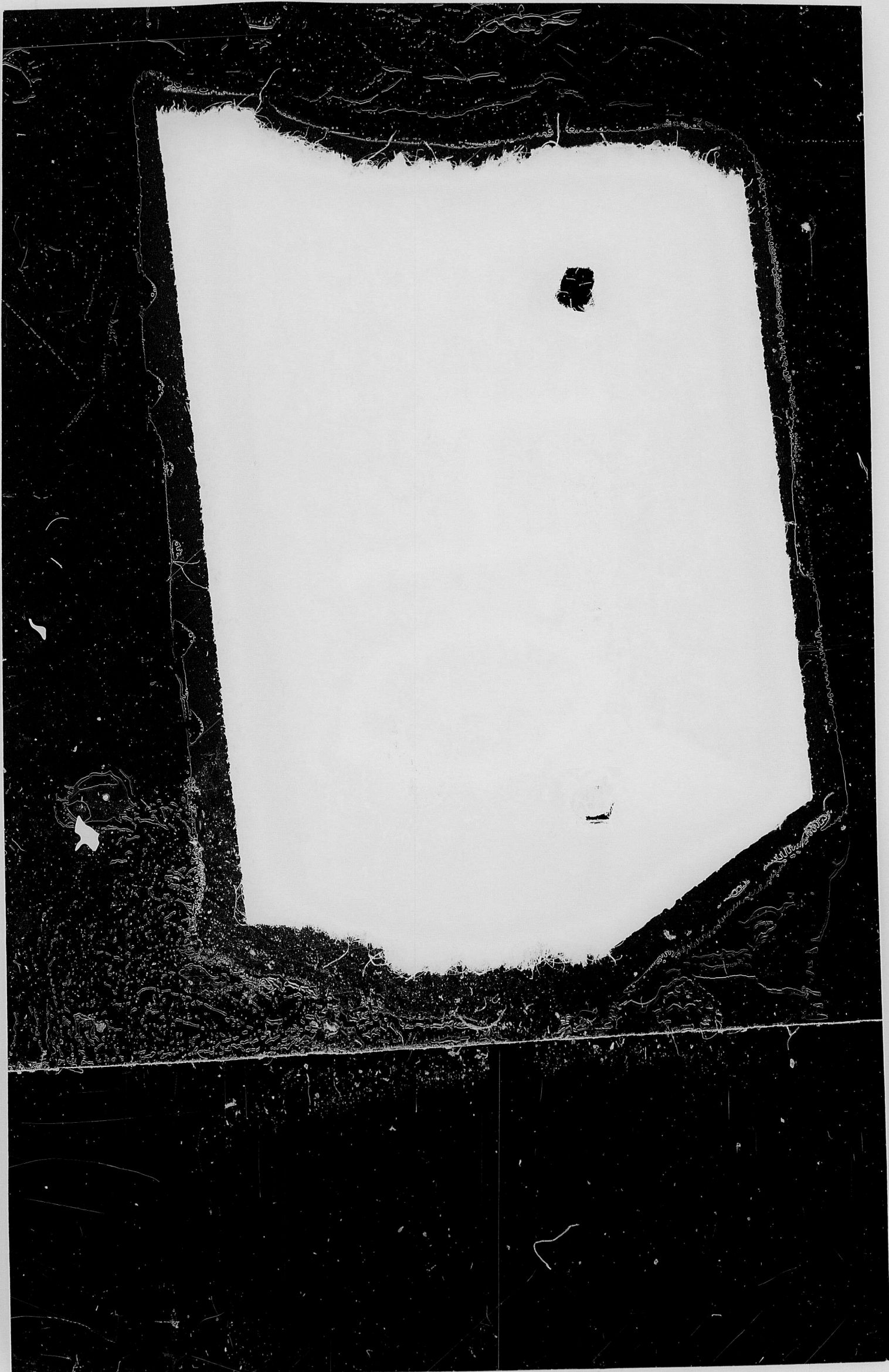
Potocki.

nego powinnością, w którą należy włożyć wiele pracy, całą energię, wszystkie siły, byleby tylko Chrystusa do ludzi przybliżyć, byleby tylko ten Chrystus mógł być przez ludzi poznany, pokochany i naśladowany. By dojść do tego, Franciszek zużytkowuje znane mu zasady moralne, opiera się na obserwacji życia, przemawia wprost do osoby, tworzy dialogi, ze słuchaczem rozmawia przez „ty”. Nie przejmuje się tym, że publiczność wzrasta, że pomiędzy słuchaczami może mieć możnych, biskupów, papieża samego: On chce wszystkich zająć, wszystkim chce do serca przemówić. Dlatego też do prostaczych swych słów dołącza pytania, zagadki, przykłady, przypowieści; lub, jeśli uzna za stosowne i konieczne, mówić będzie słowami używanymi w danej okolicy; nie pogardzi też ruchami, śmiechem, płaczem i śpiewem, a nawet nie cofnie się przed żywym obrazem, jak to miało miejsce w Greccio.

Jeśli weźmiemy pod uwagę treść nauk Franciszkowych — spostrzeżemy, że są one bardzo proste. Rozbiera w nich najbardziej podsta-

wowe rzeczy, a Ewangelia, sprawy duszy i prawdy ostateczne to jedyne tematy, które porusza. Franciszek nie udowadnia wyszukanymi, subtelnymi argumentami. Prawda Chrystusowa nie potrzebuje dowodów — ona ma być ogłoszona, przejęta i naśladowana. Do nauk swych Franciszek nie przygotowuje się wcale, a choćby się przygotował, nie mu z tego, bo i tak przygotowanej mowy nie będzie w stanie powtórzyć, jak to miało miejsce, podczas gdy bronił Pani Ubóstwa przed papieżem i kardynałami. Franciszek improwizuje według tego jak go Bóg natchnie i jak wpłyną na niego słuchacze. Mimo wszystko jednak kazania jego są płynne i przekonujące tak dla sofistów i niedowierzających, jak dla najbardziej głuchych na słowo Boże; a słuchać go będą jednako prostaczek i analfabeci, jak też ci, którzy by z analfabetami rozmawiać nie chcieli (profesorowie w Bolonii i kardynałowie w Rzymie).

Słowem prostym i krótkim ewangelizował Franciszek współziomków. Z rozkazu przyjętą ewangelizację włączył do swego ideału i prze-



peramentu i pewności siebie mazura? Kto nie widzi szczerej, nieklamanej, rozpierającej piersi, a cechującej szczególnie nasz lud — radości w tej kolędzie :

Hej w dzień narodzenia Syna jedyne-
go Ojca przedwiecznego, Boga prawdziwego,
Wesoło śpiewajmy, Chwałę Bogu dajmy
Hej! kolęda, kolęda!

Zdolny jest nasz lud do rzewności, czułości i troski tak dalece, że nawet zapłacz na widok ubogiej, drżącej i płaczącej z zimna Dzieciny, jak to widać w kolędzie: „Jezus malusieńki...”

Ale nasz lud potrafi się śmiać, a jak się śmieje to już całą duszą i całym sercem. Widzimy to dokładnie w dialogu z żydem lub w innych kolędach opiewających różne śmieszne przygody pasterzy. Są też między polskimi pastorałkami, specjalnie regionalne; kaszubskie czy krakowskie.

Kaszubskie obok humoru wnoszą i praktyczność tego ludu.

Gdybyś się w naszych Kaszubach rodził
Nie takbyś się był Jezuniu zagłodził...
Na pierwsze śniadanie miałbyś przysmażanie
Z masłem bułeczkę, miodu szklaneczkę...

Dowcip i beztroska radość tryska z następującej krakowskiej kolędy:

Jezus maluski, złe ma pieluszki
Matuchna by mu je naprawiła
Tylko, że w sianku igiełkę zgubiła.
A Józef stary przez okulary
Patrzy i świeci Panu nieboraczek
Podaje Matce stary powijaczek.

Omawiane tu zbyt ogólnie „pastorałki” stanowią w naszych kolędach bezwzględnie większość i zasługują na specjalne studia.

Do trzeciej grupy naszych kolęd zaliczamy te, które posiadają charakter pieśni wybitnie nabożnych, w których głównym elementem są moty-

wy religijne. Odznaczają się głębią uczucia religijnego i piękną formą. Należą do najpiękniejszych i najgłębszych utworów w polskiej hymnicy kościelnej. Dość przytoczyć takie kolędy jak „Bóg się rodzi, moc truchleje... lub „Gdy się Chrystus rodzi...”, „Ach ubogi żłobie...”, by mieć pojęcie o potędze uczuć, grze słów, plastyce i piękności formy kolęd z tej ostatniej grupy. — Autorami ich byli ludzie wykształceni, poeci, jak Kochanowski, Karpiński, Słowacki, Lenartowicz, ks. Antoniewicz i inni. Kolęd tych jednak jest nie wiele.

Wśród melodii kolędowych znajdziemy wszystkie możliwe typy melodii ludowych, przede wszystkim tanecznych, jak mazury, obertasy, krakowiaki, tańce góralskie, rzadziej polonezy i menuety.

Wspomniana forma menuetu arcywyraźnie zachowała się w takich kolędach jak „Pan z nieba i z łona...” lub też „Pasterze drzymali...” Przykładem kolęd polonezowych są takie jak „W żłobie leży...”, lub „Bóg się rodzi...”

Znajdziemy wśród melodii kolędowych i marsze jak „Pójdźmy wszyscy do stajenki...” lub też chorały np. „Anioł pasterzom mówi...” Większość jednak melodii kolędowych to, jak już wspomnieliśmy, obertasy, mazurki, krakowiaki i kołysanki w rodzaju takich jak „Lulajże Jezuniu...”, „Jakże licha...”, lub „Jezus malusieńki...”

W wieku XVIII liczba naszych melodii kolędowych jest tak liczna, że wynosi blisko 400, pod-

Dobrze że duszę w modłach podnosisz do nieba
Ale żyć przede wszystkim po Bożemu trzeba

Ks. A. Krasieński.

Ile razy się modlisz, podnosić ci trzeba
Nie tylko wzrok i ręce, lecz i myśl do nieba.

Potocki.

niego powinnością, w którą należy włożyć wiele pracy, całą energię, wszystkie siły, byleby tylko Chrystusa do ludzi przybliżyć, byleby tylko ten Chrystus mógł być przez ludzi poznany, pokochany i naśladowany. By dojść do tego, Franciszek zużytkowuje znane mu zasady moralne, opiera się na obserwacji życia, przemawia wprost do osoby, tworzy dialogi, ze słuchaczem rozmawia przez „ty”. Nie przejmuje się tym, że publiczność wzrasta, że pomiędzy słuchaczami może mieć możnych, biskupów, papieża samego: On chce wszystkich zająć, wszystkim chce do serca przemówić. Dlatego też do prostaczych swych słów dołącza pytania, zagadki, przykłady, przypowieści; lub, jeśli uzna za stosowne i konieczne, mówić będzie słowami używanymi w danej okolicy; nie pogardzi też ruchami, śmiechem, płaczem i śpiewem, a nawet nie cofnie się przed żywym obrazem, jak to miało miejsce w Greccio.

Jeśli weźmiemy pod uwagę treść nauk Franciszkowych — spostrzeżemy, że są one bardzo proste. Rozbiera w nich najbardziej podsta-

wowe rzeczy, a Ewangelia, sprawy duszy i prawdy ostateczne to jedyne tematy, które porusza. Franciszek nie udowadnia wyszukanyymi, subtelnymi argumentami. Prawda Chrystusowa nie potrzebuje dowodów — ona ma być ogłoszona, przejęta i naśladowana. Do nauk swych Franciszek nie przygotowuje się wcale, a choćby się przygotował, nie mu z tego, bo i tak przygotowanej mowy nie będzie w stanie powtórzyć, jak to miało miejsce, podczas gdy bronił Pani Ubóstwa przed papieżem i kardynałami. Franciszek improwizuje według tego jak go Bóg natchnie i jak wpłyną na niego słuchacze. Mimo wszystko jednak kazania jego są płynne i przekonujące tak dla sofistów i niedowierzających, jak dla najbardziej głuchych na słowo Boże; a słuchać go będą jednak prostaczekowie i analfabeci, jak też ci, którzy by z analfabetami rozmawiać nie chcieli (profesorowie w Bolonii i kardynałowie w Rzymie).

Słowem prostym i krótkim ewangelizował Franciszek współziomków. Z rozkazu przyjętej ewangelizację włączył do swego ideału i prze-

czas gdy nasi sąsiedzi. Niemcy posiadają ich w tym czasie zaledwie kilka.

Tak więc w skarbcu narodowym, obok takich klejnotów jak „Pan Tadeusz,” „Król Duch”, czy mazurki i polonezy szopenowskie, mamy perły mniejszego blasku, t. j. kolędy.

Z tych krótkich uwag staje nam przed oczyma jasny wniosek, iż obowiązkiem naszym jest przyjąć z miłością spuściznę praojców, poznać ją i wysoko cenić.

Niech to hasło „Hej! kolęda, kolęda! brzmi nam tak wesoło, przyjemnie i rozgłośnie, jak naszym ojcom.

FR GRACJAN OŻÓG.

W misyjne uderzmy fanfary!

Misje — O, Boża Dziecino — leżąca w żłobku, powiedz mi czym są one!

Misje — O, Królowie, zdążający do Boga Dziecięcia powiedzcie mi — czym są one!

Oparty o Twój żłobek, Jezu, wpatrzony w Twoją postać, wsłuchany w kolędy, które niosą się światem, jak długi i wielki — myślę...

Misje — to Ty, Boski Jezu, który przyszedłeś do nas w osobie małego Dziecięcia...

Misje — to Chrystus na szubienicy kalwaryjskiej, to Chrystus płaczący i oczekujący, samotny i opuszczony w Najśw. Sakramencie, to Chrystus mówiący słowa: Idźcie i nauczajcie — Oto ja was posyłam — żniwo wielkie. Kto opuści ojca, matkę?... Prześladować was będą...

lał ją na swych synów. Dlatego to sam jedzie na Wschód, dlatego wysyła swych braci, by głosili „Wesołą Nowinę”, dlatego umieszcza w swej regule specjalny rozdział o kaznodziejach.

Wielką zatem niesprawiedliwość popełniłby ten, kto by głosił, że Franciszkowi obcym było kaznodziejstwo. Asyżanin, naśladować Chrystusa, musiał się starać o nawrócenie dusz dla Zbawiciela — głosił Ewangelię, a głosił ją słowem prostym, krótkim, obrazowym, nie mniej jednak przekonującym, bo pochodziło ono ze serca gorącego i przekonanego.

— o —

Na postawie: P. A. Gemelli „Il Francescanesimo”, I Fioretti di S. Francesco, cap. XVI; P. L. Buoncris-tiani „Appunti di Storia Francescana”.

O jakże płonne są ludzkie nadzieje!
Jutro zapłacze ten, kto się dziś śmieje.

Ks. Antoniewicz

Misje — to słowa: Biada mi, jeżelibym Ewangelii nie opowiadał. Żal mi tego ludu!...

Misje — to niekończący się, niezorany, zachwaszczony, pozbawiony słońca, ciepła i światła ugór. Nic nie rodzi — albo bardzo mało — a mógłby dużo rodzić! Ziemia urodzajna!... Mijają wiosny — a nie przychodzi siewca — mijają lata, a nie wychodzą żniwiarze... mija jesień... a nie wychodzi nikt zbierać owoców... Świat katolicki śpi! Daje niebu marne owoce swego życia — daje mało — podczas gdy świat pogański dałby dużo, gdyby znał środki i sposoby dobrej sprawy swego serca; przychodzi zima — zapada sen nad światem katolickim — nad światem pogan beznadziejnie ponura noc śmierci!

Mijają lata — mijają pokolenia — wieki — tysiąclecia i nic się nie zmienia, a jeśli się zmienia to mało, za mało! („Żniwo wielkie — robotników mało!”) Jedne za drugimi ludzkie pokolenia kładą się w mogiłę... na sen... Boże, czyli też ten sen nie będzie dla niejednych snem wiecznym, bez obudzenia?...

Bracia, obudźmy się, na miłość tego Bożego Dzieciątka, obudźmy się i śpieszmy z pomocą! S. O. S. Okręt tonie! Ratunku! Chwila zwłoki, a może być zapóźno! Nasze ociąganie niweczy plany Tego Bożego Dziecięcia! Bracia, obudźmy się! Nie chodzi tu już o państwa, o bogactwa, o ratowanie cywilizacji, ale o ratowanie dusz! Pogańskie krainy bieleją ku żniwu! Swym własnym kunsztem dobiegły nas na wielu polach, niejednokrotnie wyprzedziły, zostały w tyle tylko na polu religii, bo też jest rzeczą wprost niemożliwą, aby chory sam zrobił sobie ciężką operację, aby sobie sam zdjął z oczu zabójczą kataraktę czy bielmo!...

Misje — to okrzyk rozdierający, płacz wielki, to rozpacz i smutek, to oczekiwanie i konwulsyjny ból milionów!

Misje — to krzyk mordowanych — to płacz wyrzucanych na bruk dzieci, to ledwie dosłyszalny jęk i lament kobiety pogańskiej, to tęskny wzrok biedoty — dogasającej na brukach miast pogańskich, w zaułkach i suterynach i w ohydzie zionących rynsztokach!

Misje — to pogardliwe, nieludzkie, szatańskie, wystawne życie sfer wyższych i zwierzęca vegetacja pariasów i biedoty; to „boskie” ucztę magnatów i połykanie łez nędzoty, to bogactwo i splendor, nędza i poniżenie!...

Misje — to niezliczone, nieznane, niezapisane nigdzie, chyba w księdze żywota, rzesze szaleńców Bożych, porzucających wszystko i idących i nieących Dobro — Światło — Prawdę!

Misje — ta bezkresne wyczyny apostołskie podjęte dla ratowania z ciemności, nędzy i fałszu!

Misje — to ciche misjonarskie łzy, nieznany trud! to nadludzkie, głośnie sławne wyczyny, Ksawerych, Klawerów i Solanów i cicha praca we wsi murzyńskiej — gdzieś w głębinach Sudanu, Angolii czy pośród bezkresnych — pustynnych piaszków Sachary i Gobi!

Misje — to niezliczone krzyże — moralne i materialne, to niezliczone tortury, to Prometeizm najwyższy i niedościgniony!

Misje — to ustawiczne wołanie: Bracia ratunku! Rodacy! Pomocy! Miejcie litość!

Misje — to bezgraniczny, pełen zaparcia wyczyn Kościoła i to jedynie katolickiego Kościoła!

Misje wreszcie to głos, który może już niejednokrotnie, przy lekturze o egzotycznych krajach i ludach, o wyczynach misjonarskich — odezwał się w sercach naszych i umilkł; to głos, który nam może spać nie daje i ustawicznie woła, przekonywuje, zachęca; to głos, co zwycięży może lub upadnie?!

Misje — to surmy wojenne, bojowe, donośne, niebosiężne! To fanfary, w które dotychczas dął i grał ból pogańskich serc i tęsknota, a dziś zagramy na nich my pieśń wielką — pieśń radosną, pieśń triumfu!

Bracia, poganie — idziemy!

Misje — Boże mój i Dziecino leżąca w żłóbku — powiedz mi czym są one!

Misje — Królowie, dążący do Boga — Dziecięcia, powiedzcie mi czym są one!

Misje — O wielka nocy betlejemską, o światło niekończącej się radości — o rozśpiewane serca ludzkie, o kolędy nasze, o gwiazdy świecące Dziecięciu, o tłumy i kościółki rozetkane pieśnią, o łzy spływające na opłatek, o serca opuszczone, zbolełe, oderwane, tułacze — powiedzcie mi czym są one!

Misje, misje! — Boże mój, niby wiem, a nie wiem! Gdybym wiedział prawdziwie czym są, Panie, już dawno roznieciłbym w sercu ogień misyjnego zapалу i podkładał doń coraz więcej i więcej paliwa!

Tymczasem tak mało o nich wiem, tak rzadko się w ich brzmienie wczuwam — stąd jestem zimny, traktuję je, jak każdą inną sprawę, stąd nie ma we mnie nic z Misyj, nic — dosłownie nic!

Oparty o Twój żłóbek, Jezu, wpatrzony w Twoją postać drżącą, wsłuchany w kolędy, co się niosą światem... myślę... i słyszę płacz w mej duszy!

Fr Marek Pocięcha.

Wigilia Bożego Narodzenia na wsi

Któż z nas nie pamięta tych chwil młodości, spędzanych w kółku rodzinnym? Ileż tam było szczęścia, wesela i radości!

Teraz, gdy się poznało, co to jest życie twarde, znojne, pełne pracy i poświęcenia, to mimo woli przychodzą na myśl te chwile bez troski, szczęśliwe i wesole i pobudzają nas do snucia na ten temat refleksji.

Najwięcej może jednak tego szczęścia, wesela i radości przynosiły nam święta Bożego Narodzenia.

W wigilię Bożego Narodzenia już od samego rana panował ruch ogromny. Matka gotowała pośnik (wieczera wigilijna) a ojciec przygotowywał słomę, siano i owies na wieczór wigilijny. Ja i bracia kręciliśmy się po domu z kąta w kąt, nie wiedząc co mamy robić i nie mogąc doczekać się pierwszej gwiazdy na niebie.

Dzień grudniowy jest jednak krótki, minął więc szybko i zaczęło się ściemniać. Matka ubrała nas odświętnie, uroczystość to bowiem jakich mało w roku.

Stanęliśmy na straży przy oknie i czekaliśmy na ukazanie się pierwszej gwiazdy na niebie. Niedługo jednak, gdyż brat zawołał: „Tato! tato! już jest gwiazda! Idźta po słomę!”

Matka z braćmi została w domu. Pierwszy przekroczyłem próg domu z „królem” — tak nazywają na wsi snop żyta, który przypomina pokłon Trzech Króli w stajence — i pochwaliłem Boga według zwyczaju panującego u nas w czasie świąt Bożego Narodzenia.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Kolęda na szczęście, na zdrowie i na tę wilię

Bożego Narodzenia, abyśmy byli weseli, jak w niebie Anieli.

Matka z braćmi odpowiadała:

— Daj Boże!

Postawiłem „króla” w kącie, gdzie stoi aż do Trzech Króli i zaraz pobiegiem rozścielać słomę po podłodze. Wraz z braćmi przygotowałem sobie pośnianie w jednym kącie, ojciec z matką w drugim. Jest u nas bowiem zwyczaj, że na Boże Narodzenie wszyscy — z wyjątkiem chorych i starych, tj. takich, którzy mają przynajmniej 70 lat, śpią na słomie. Powiadają bowiem, że kto tego dnia spi na łóżku, tego podczas żniw krzyże (plecy) będą boleć.

Tymczasem ojciec rozsypał na stole owies, położył nań siano — na pamiątkę, że Pan Jezus leżał w żłóbku na sianie — a matka przykryła stół obrusem. Jeszcześmy dobrze nie przygotowali wszystkiego, a tu wchodzi stryj i zaprasza nas do dziadków na pośnik.

Poszliśmy wraz z rodzicami i po krótkiej modlitwie siedliśmy do stołu. W domu panuje jakiś dziwny tajemniczy a jednak radosny nastrój. Lampa jest zgaszona — a świecą się tylko dwie świeczki koło krucyfiksu. Cały dom pogrążony jest w półmroku, co jeszcze bardziej potęguje tajemniczy nastrój. Każdy dostał opłatek i zaczęło się łamanie opłatkiem. Najpierw podzielił się ze wszystkimi dziadek, następnie babka, ojciec i tak aż do najmłodszego, życząc sobie przy tym „Wesołych Świąt”.

Najwięcej przy tym śmiechu było z nas malców, staraliśmy się bowiem ułamać jak najwięcej



cudzego a jak najmniej dać swojego, a co się nie zawsze udawało.

Wreszcie łamanie się skończyło. Ojciec zaczął kolędę „Wśród nocnej ciszy...” a tymczasem podano pośnik, który składał się z kilku dań. Jest tam więc barszcz, fasola, kapusta, kasza, grzyby, ryby polewka (coś w rodzaju kompotu) i pączki; posiłek to więc obfity, który się zdarza raz do roku.

Jednakże nie koniec na tym, gdyż ojciec mój zaprasza wszystkich do siebie na pośnik.

Dopiero jednak cośmy go zaczęli, a tu już słychać strzały na wiwat, że aż szyby w oknach brzęczą. Nie czekając na koniec, chwyciłem sropek słomy i wraz z bratem pobiegłem obwiązywać drzewa. Stawaliśmy przed każdym drzewem a brat mówił:

— Ja go zetnę!

A ja na to:

— Nie ścinaj, bo będzie jeszcze dobre owoce rodziło! — i na potwierdzenie tegoż obwiązywałem je powrośłem.

Po skończeniu tej czynności wróciliśmy do domu. Pośnik już się skończył i wszyscy się porozchodzili.

Wziąwszy chleb z opłatkiem poszedłem z ojcem do stajni. Do dziś dnia bowiem zachował się na wsi zwyczaj, że i zwierzętom daje się opłatek na pamiątkę, iż one pierwsze złożyły hołd i pokłon Zbawicielowi według słów kolędy:

„Osiół mu z wołem usługują.

Kłękają, znając adorują

Stworzyciela swojego”.

Po powrocie do domu zastałem sąsiada, kawalera, który rozmawiał z matką o świętach Bożego Narodzenia. W tym otwarły się drzwi i weszła siostra stryjeczna z koleżanką, a zobaczywszy kawalera zaczęły mu śpiewać kolędy, za co tenże musiał im zapłacić.

Zaczęli się powoli schodzić sąsiedzi i śpiewać kolędy. Czas minął szybko i zegar uderzył w pół do jedenastej, a więc czas na Pasterkę. Chwyciłem szybko kurtkę i czapkę, wybiegłem na gościniec, a tu już ludzie walą na Pasterkę. Przyłączyłem się do kolegów i szliśmy całą hurmą z krzykiem i ze śmiechem, bo co chwilę któryś upadał na ziemię.

W kościele ksiądz naprzemian z organistą śpiewali Jutrznię, której się wcale nie rozumiało, czekaliśmy więc, aby się jak najprędzej skończyła. Dopiero może po jakichś dwudziestu minutach uderzył dzwonek przy zakrystii i wyszła Pasterka. Kościółek mały, więc tłok stawał się coraz większy tak, iż myślałem, że mię uduszą.

Nagle odezwały się organy a organista zaczął: „Bóg się rodzi, moc truchleje...” Cały zaś kościół podchwycił i śpiewał: „...Pan niebiosów obnażony”. Po skończeniu jednej zaczynał drugą, iż ani się nie spostrzegłem, że Pasterka się skończyła, a ludzie zaczęli wychodzić z kościoła.

Na polu zimno, biegłem więc szybko z kolegami do domu i tu pomodliwszy się chwileczkę, zasnąłem snem sprawiedliwego.

FR KRZYSZTOF POLSKI.

Święty Franciszek w „Bez oręża” -- Zofii Kossak

Literaturze stawiającej Biedaka z Asyżu przybyło nowe wspaniałe dzieło. Jest nim powieść „Bez oręża” słynnej współczesnej powieściopisarki Zofii Kossak.

Akcja tej powieści rozgrywa się w czasach św. Franciszka a więc u schyłku wieku XII i na początku XIII. Podobnie jak w „Krzyżowcach” tak i tu osnowę powieści stanowi wyprawa krzyżowa, w której udział bierze — jedyny chrześcijanin, jakiego spotkał w swoim życiu sułtan egipski, „którego czyny nie kłamią wierze” — św. Franciszek z Asyżu.

Autorka z głęboką znajomością i twórczą intuicją kreśli przed nami żywy, barwny obraz syna Piotra Bernardone, na tle ówczesnej epoki. W powieści żyjemy ze świętym Franciszkiem, czujemy z nim, myślimy, rozmawiamy, podziwiamy go, chylimy przed nim czoło, a wreszcie nie mo-

żemy się oprzeć jego czarującemu urokowi i postanawiamy go naśladować.

Naprawdę twórczy talet autorki „Króla Trędowatego” zajaśniał tutaj w całej pełni! Św. Franciszek został tutaj tak doskonale ujęty, że nie wiadomo, co u niego więcej podziwiać, czy tę radość życia, niebiańską wesołość, dziecięcą ufność ku Bogu i bezgraniczną miłość ku „Panu Naszemu”, czy też ofiarność i macierzyńską troskę około swoich braci, gorliwość o zbawienie zbłąkanych i nawrócenie pogan, czy wreszcie głęboką jego pokorę, wzdarcie siebie i stanowcze obstawanie przy bezwzględny ubóstwie.

Wszystko, co autorka mówi o św. Żebraku lub wypowiada przez jego usta, może być treścią i przedmiotem wielu rozmyślań duchownych, które niejednokrotnie byłyby lepsze od medytacji znajdujących się w specjalnych podręcznikach. Dla przykładu można wziąć rozważania Świętego na

temat wolności Synów Bożych (53. I), jego zapatrywanie na bogactwa (91. I), albo wreszcie cudne kazanie „szaleńca i głupca” przed wyprawą krzyżową (272-I).

Pomijam to, że kazania takiego, jakie nam dała autorka nie powstydziłby się nawet sam złoousty kaznodzieja Piotr Skarga!

Nie podobna w krótkim artykule omówić wszystkich rzeczy, gdzie występuje nasz Święty. Ograniczę się tylko do niektórych.

Nadzwyczaj piękną i zawierającą wiele praktycznych wskazań jest dysputa biedaka z Asyżu z kacerzem Albigensem. Brat Doskonały — tak się nazwał sekciarz, gardzi podanym mu winem, brat Franciszek natomiast „patrzył na wino z takim wyrazem jakby złocistość cieczy przeświecona słońcem zmieniała się w jego oczach w rubinową czerwień krwi” — bo ono mu przypominało Mszę św.

— „Miłujesz ubóstwo — ciągnął katar — przeto myślałem, że należysz do nas... doskonałych...”

— Nie sędzę, by ktokolwiek śmiertelny mógł być doskonałym, a cóż dopiero ja? Zauważył Franciszek z uśmiechem.

— Och, to się rozumie tylko w zestawieniu z resztą ludzkości, szczególnie mnichami i księżmi hołdującymi mamonie...

Franciszek zmarszczył wyraziste brwi.

— Mnisi, księża? Powtórzył. — Jakież mamy prawo ich sądzić? Jeżeli popełniają grzechy, choć nie mi o tym nie wiadomo, co nam do tego? Baczmy własnego sumienia. Oni są dla nas pośrednikami z woli Pana Naszego pomiędzy Nim a nami postawionymi i musimy ich poważać i szanować...

Doskonały roześmiał się z niezadowoleniem.

— Więc rzeczywiście nie należysz do nas. My walczymy z klechami na śmierć i życie! My ich nauczymy, jak rozumieć wiarę prawdziwą! A z których jesteś? Popelikanin? Humiliata?

— Jestem najpokorniejszy sługa Kościoła Chrystusowego.

— Którego?

— Jeden jest przecież. Rzymski. Podległy Ojcu świętemu.

— Jesteś więc papieżnikiem... Szkoda!”

Gdy kacerz mówi, że Kościół sfałszował, pomylił naukę Chrystusa, Franciszek pyta go, skąd oni mają pewność, że sami jej nie pomylili. Na słowa Albigena, że ziemia jest przeklęta, że jest tworem szatana a nie Boga, Franciszek oniebiał, przeraził się tym okropnym bluźnierstwem, a już najbardziej zabolęła go zapowiedź sekciarza o zniszczeniu wszystkich świątyń i krzyżów.

— Jak można niszczyć krzyże — te dowody najświętszej miłości Boga ku nam — mówi do siebie, a odwracając się do heretyka, woła — nie lękam się jednak, bo krzyża nikt nie obali!

Jest to jedna z najpiękniejszych scen! A takich jest wiele, choćby napomknąć tylko o rozmowie Franciszka ze sułtanem egipskim, któremu święty proponuje, aby przyjął wiarę chrześcijań-

ską, a tym samym usunąłby przyczyny wojen i walk toczonych o Ziemię świętą.

A oto fragment, na którym opiera się tylko pewność.

Gotuje się wyprawa krzyżowa. Brak jej wodza. Św. Franciszek przychodzi do Ojca św. i pyta go, dlaczego nie wyruszają — wszak „wodem powinien być Pan Nasz i nikt inny”.

Papież mu odpowiada:

— Chrystus Pan nie pozwolił walczyć mieczem... Więc jakżeby te wojska poszły? Bez oręża?

Franciszek się rozpromienia.

— O tak! Tak właśnie! Bez oręża! W imię miłości Pana Naszego...

— Cymże rozgromiłby poganów?

Nie potrzepowałby gromić! One by ich nawróciły!... Dotychczas wołano tylko, by pogan wytepić... Otóż nie. Po co wytepić? Nawrócić! Nawrócić!...

— Nie nawróci się grzesznik zatwardziały bez miecza nad głową...

— Pod mieczem nie nawrócenie, wasza świętobliwość, to strach. Bo tylko oręż wyzywa oręż, a siła drażni siłę. A Pan nasz nie chce przymuszonych i zastraszonych...”

Kardynał Palagiusz, wódz wyprawy krzyżowej przekonywuje św. Franciszka, że należy zniszczyć pogaństwo, nie oglądając się na ofiary...

— „Zniszczyć pogaństwo, lecz nie pogan! woła św. Franciszek z łkaniem. To bracia nasi”. Nie są winni, że nie znają Chrystusa. Są między nimi dobrzy i źli. Żyją jak umieją.

I jeszcze jedna charakterystyczna scena. Św. Franciszek zostawia swoich braci w Ziemi św. i mówi do nich:

— „Ustanawiam was Stróżą Ziemi Świętej... Będziecie tu żyć jak teraz... Bez oręża... Nie będzie was nikt chronił, ani strzegł, ani osłaniał, tylko moc Pana Naszego... I na nią jedną macie liczyć... I dla wszystkich macie zachować tę samą życzliwość i ludzkość, tak dla swoich, jak dla pogan, dla Arabów czy dla Turków, dla dobrych czy dla złych...”

Już tych kilka urywków pozwala nam wnioskować, jak bardzo autorka wczuwa się w postać Serafickiego Patriarchy. Kto nie zna jego żywota, ten po przeczytaniu powieści „Bez oręża” będzie miał żywą i barwną jego sylwetkę a zwłaszcza



cza jego urok i czar, jaki wywierał na współczesnych, zacząwszy od Ojca św., a skończywszy na sułtanie muzułmańskim.

Naprawdę piękna to powieść i warto ją przeczytać, bo nie tylko, że przybliży i uprzyściplenia nam postać jednego z największych świętych, ale i daje nam bogatą i skomplikowaną akcję i całą galerię postaci, z których każda działa, mówi i myśli w swoisty, indywidualny sposób.

Walory literackie dzieła — piękno języka i stylu, mistrzostwo w charakterystyce postaci, głęboką intuicję, gruntowną znajomość epoki średniowiecza — już inni omówili. Ja podkreślę tylko jeden charakterystyczny szczegół, świadczący o wysokim poziomie etycznym powieści.

Autorka pozwala drugiemu bohaterowi powieści Janowi de Brienne, królowi jerozolimskiemu grzeszyć, łamać prawo i narzucać porządek moralny, ale równocześnie nieubłagane prowadzi go do przekonania, że istnieje odpowiedzialność za czyny, że „jest tylko jedno prawo: Boże, że jest w świecie „jakiś wielki Ład”, którego naruszyć nie wolno.

I dziś, gdy tęsknimy za podobną postacią, jaką był św. Franciszek z Asyżu, to kto wie, czy powieść „Bez oręża” nie przyspieszy godziny ukazania się podobnego Pieśniarza Pańskiego, za co Czcigodnej Autorce należy się szczególne uznanie i podzięką przede wszystkim od tych, którzy mają szczęście być synami Biedaczyny z Asyżu...

Fr Jukundyn Jędrzej Łaba
student Teologii.

Bilans na czasie

Nie wiele już czasu pozostaje staremu Rokowi. Jeszcze kilkanaście dni, a pogrąży się jak minione lata w otchłani przeszłości, jeszcze parę starczych tchnień, a na jego gruzach stanie Nowy Rok, jako nieubłagana jego konsekwencja, jeszcze parę dni, a wielu zapomni o nim w ogóle. Tak zazwyczaj bywa w życiu..., ale historia czuwa. Ona nie zapomni niczego, nie przeoczy żadnego wypadku — owszem idzie uparcie za ulatniającym się życiem i notuje skrupulatnie wszystkie jego cienie i światła.

Rok Stary należy już właściwie do jej sfery działania. Zacznie się sąd i ocena tego co przyniósł światu. I jeżeli który rok, to chyba ten kończący się będzie miał ciężką przeprawę. Trudno — za bardzo się wcisnął w umysły tych, którzy go przeżywali na trzeźwo.

A tak się spodziewano po nim, że będzie pomyślniejszy od poprzedniego, tak życzone sobie polepszenia bytu. Spodziewano się, że umilkną straszne odgłosy bratobójczych zamieszek, że zapanuje pokój między narodami i w narodach że wyniszczone kryzysem społeczeństwa zaczną lżejszy, możliwszy żywot. Niestety. Życzenia przebrzmiały, nadzieja gdzieś zniknęła, a przyszła twarzą rzeczywistość, gorsza od poprzedniej. Rok dogorywający zaczął swój byt w trudnych niezmier-

nie warunkach. Ogólną grozę, spowodowaną odgłosami bratobójczych walk o niezależny byt Hiszpanii powiększyło widmo nowej zawieruchy wojennej; na Dalekim Wschodzie odezwały się pierwsze detonacje bomb i pocisków armatnich. To dwa pokrewne narody znów rzuciły się na siebie, by odegrać nową, krwawą symfonię. Na razie kultura i technika japońska święci tryumfy. Ale i Chińczycy umiają bohatersko ginąć. Wystarczy tu wspomnieć, że w walce o Nankin w ciągu kilku dni zginęło ich 70.000 na 30.000 Japończyków. Zdaje się jednak, że nie już nie stanie na przeszkodzie, żeby Japonia podyktowała swemu przeciwnikowi warunki zwycięzcy.

Nie uratuje Chin nawet Rosja, której własne interesy kazały chwilowo zaangażować się w te sąsiedzkie porachunki, bo ona sama cierpi na niestrawność ludzi postawionych na stanowisku. Nie uratuje ich nawet sam marszałek Bluecher, wódz armii rosyjskiej na Dalekim Wschodzie, którego dyktator Chin Czang-kai-szek błagał o pomoc choćby wbrew Moskwie, ofiarując mu zato naturalizację chińską, godność marszałka i naczelnego wodza armii chińskiej, bo on sam boi się krwawego dyktatora Rosji i losu jaki spotkał trzech jego kolegów — marszałków¹⁾. Tymczasem w Europie panują targi polityczne, scentralizowane w dwu blokach: trójporozumieniu demokracji, t. j. Anglii, Francji i Rosji, oraz trójprzymierzu totalizmów, w skład których weszły Niemcy, Włochy i za ich staraniem odległa Japonia. Chodzi o powstrzymanie gwałtownych zbrojeń i utrzymanie równowagi politycznej — tymbardziej, że Niemcy stale wysuwają się na czoło i to pod każdym względem. Nikomu też nie jest tajemne, że myślą one w najbliższym czasie odegrać w Europie poważniejszą rolę, która by wzmocniła jeszcze ich znaczenie polityczne i gospodarcze.

A że kanclerz Hitler myśli radykalnie załatwiać swe pretensje, świadczy fakt, że oparł je o wojско i wzmożone zbrojenia. I przypuszczać trzeba, że dopisało mu szczęście, czy instynkt wodza; potrafił w odpowiednim czasie uprzedzić cios korpusu oficerskiego armii niemieckiej, fermentującego opozycyjnie i dążącego do zlikwidowania ruchu hitlerowskiego przez restaurację Hohenzolernów — opanował zagrażającą Niemcom rewolucję i skoncentrował w swoim ręku pełnię władzy cywilnej i wojskowej.

Teraz wypadki potoczyły się już kolejno i zdecydowanie. Następuje nie słychany, nie mający precedensu w dziejach narodów wypadek, że jedno państwo wchłonęło drugie z tej jedynie racji, że tanto nie mogło mu się oprzeć...

Inne państwa z przerażeniem przypatrywały się w jaki sposób giną samodzielne narody. Ale chyba najdotkliwiej fakt ten dał się we znaki Czechosłowacji. Było bowiem pewnem, że za jakiś czas i po jej ziemie wyciągnie się zaborcza łapa nigdy nienasyconego narodu niemieckiego.

Równocześnie Polska przeżywała wielkie dni. I zdawało się, że już będzie musiała wyciągnąć

¹⁾ Prawdopodobnie już dzieli ich los. (Przyp. Red.)

swój miecz, by poskromić niepokojącego ją w sposób niemal obraźliwy sąsiada. Chodziło o uregulowanie ostatecznych stosunków z Litwą, która przez dwadzieścia lat nie raczyła oficjalnie odezwać się do Polski, a ustawicznie żerowała tylko na jej cierpliwości. Tym razem jednak wystarczyła sama powaga naszego narodu; przed samym dźwiękiem oręża polskiego ukorzył się nasz przeciwnik i zgodził się na postawione sobie ultimatum.

Podobna sytuacja wytworzyła się i na południu. Tu znów gnębili Polaków Czesi. Ale i tu sprawiedliwości musiało stać się zadość; nad Czechosłowacją, a zarazem nad całą Europą nadciągnęły czarne chmury i grom wojny już wisiał w powietrzu. Były to pamiętne dni wrześniowe. Niemcy stanowczo domagali się ziem zamieszkałych przez ludność germańską. Przychodziło im to za tym łatwiej, że tak sama Czechosłowacja jak i jej reklamowani obrońcy Francja i Rosja przechodziły wewnętrzny rozkład. Doszło do niesłychanego napięcia. Akcja rozwijała się w błyskawicznym tempie. Dyplomaci niemal na wyścigi urządzali sobie podróże, wizyty, narady i przeróżne zebrania. O Lidze Narodów zapomnieli wszyscy. Niestety. Fałszywa, bo oparta na Rosji polityka rządu czeskiego zbierała teraz owoce — a armia niemiecka ruszyła naprzód, by objąć i przyłączyć pod panowanie swastyki nowe ziemie.

Równocześnie Polska upomniwała się o swoje, zagarnięte podstępnie przed dwudziestu laty, ziemie. Dla niej bowiem jest prawdopodobnym, że po Austrii i Czechach wraza ręka wyciągnie się po jej terytoria. Musiała więc się wzmocnić, tymbardziej, że tu chodziło o naprawienie zadawnionej krzywdy. Ostatecznie po dniach ciężkich, przepojonych atmosferą wojenną, chmury nieco się rozeszły i przez cały kraj polski przebiegła wesoła wieść: Czechy zgodziły się nasze warunki i Zaolzie wraca do Polski. Tak powoli zaczęła Europa swobodniej oddychać. Ale widmo wojny nie zniknęło: przesunęło się tylko dalej ku wschodowi, objęło Rumunię, Węgry i Ruś Zakarpacką. Tam jeszcze dziś dzieją się rzeczy nie do opisanego i krew się leje strumieniami. Europa zaś po tych dniach zdenerwowania wrześniowego, które można chyba porównać tylko do pamiętnych dni sierpniowych z 1914 r. — przestała się interesować tymi sprawami tak żywo jak niegdyś. Przez jakiś czas będzie przeżuwać to wszystko co się przez nią przewalało. Polska natomiast energicznie podąża za innymi narodami, musi bowiem być przygotowaną na każdą ewentualność. Z tego też względu w szybkim tempie przeprowadziła realizację C. O. P-u, zwróciła uwagę na Gdynię, wojsko i flotę.

Ostatnio zaś zdecydowała się usunąć ze swego organizmu niszczący ją wrzód w postaci masonerii.

Oto co towarzyszyło narodzinom i życiu Starego Roku. Podobnie tragicznej sytuacji chyba nikt się nie spodziewał. Wszakże wszyscy życzyli sobie pomyślności, pokoju i najdłuższego życia — a tu pomyślność dalej uwikłana pętami kryzysu, pokój świata mocno podminowany, a życie, ten najcen-

niejszy skarb człowieka, tak często stawało się łupem śmierci, grasującej w zastraszający sposób po różnych polach walk.

Gdzież więc to wszystko — czego się spodziewano po tym roku? Nie ziściło się... i rok miniony przejdzie do historii jako krwawy i bezlitosny niszczyciel samodzielności państwowej. Gorzka to prawda — ale zasłużył na ten wyrzut w zupełności.

Po nim przyjdzie Rok Nowy — a z nim nowe życzenia, wydobyte spod grubego pokładu troski i niedawno przeżytych cierpień. Czy one będą skuteczniejsze od poprzednich, czy prawda rzucona w oczy Staremu Rokowi w przyszłości się nie powtórzy? Niewiadomo...

Optymizm, wrodzony przynajmniej w części każdemu człowiekowi, każe się spodziewać, że będzie lepiej... Ale świadomość, że znów nad Europą zbierają się chmury w postaci nowych nieporozumień francusko-włoskich, że Chiny, Hiszpania, Palestyna i Ruś Zakarpacka są ciągle jeszcze w ogniu morderczych walk, że nie rozwiązano jeszcze kwestii kryzysu gospodarczego i kwestii żydowskiej... każe przypuszczać co innego. I tak będzie zawsze — dopóki narody szukać będą pokoju bez Tego, Który jest dawcą pokoju i sam jest Pokojem dla skołatanych życiem serc...

FR BOGUMIŁ MIGDAŁ.

Nasze wakacje w Alwerni

Zanim przystąpię do opisanego naszych wakacji w Alwerni, muszę najpierw zaznaczyć, że będzie to tylko krótki szkic. Nie łatwo bowiem zamknąć na kilku stronach przeżyć z 3 miesięcy, a do tego przeżyć wakacyjnych, przeżyć bujnych, gdzie każdy stara się powetować dziewięciomiesięczne ślęczenie nad książką. Nie da się to tak łatwo streścić jeszcze i dlatego, że wśród wycieczek mieliśmy takie jak Katowice, Chorzów, Siersza Wodna, Fablok Chrzanowski i inne. Chcąc te wycieczki uczciwie opisać trzeba być raz fachowcem, a po drugie trzeba mieć dobre pióro; tymczasem nie mam pretensji ani do jednego, ani tymbardziej do drugiego.

O ile zaś biorę się do tego, to z konieczności. Czeigodny O. Redaktor prosił o sprawozdanie z wakacji; ci zaś, którzy by to mogli z łatwością uczynić, byli już czym innym zajęci, nie pozostało więc nic innego jak zabrać się do roboty. Kupić nie kupić, uda mi się, przynajmniej w małym stopniu, to dobrze, a nie, to trudno.

Słowo wakacje dla każdego, a zwłaszcza dla biednego kleryka OO. Bernardynów we Lwowie, ma jakieś magiczne znaczenie, wywołuje pewne ożywienie na zmęczonych twarzach. Jest to całkiem zrozumiałe, gdy się przez dziewięć miesięcy głowę do góry musi zadzierać, aby niebo zobaczyć i stołek przystawiać dla otwarcia okna. To też klerycy, którzy wczoraj jeszcze z dogmatyką czy moralną drzemali po kątach tak, że robili wrażenie ludzi, których już nic potrafi rozruszać,

zaraz po egzaminach, kręcą się wesoło, pakują swoje manatki i oczekują niecierpliwie odjazdu.

Wyjeżdżaliśmy wczesnym rano. Na dworzec jedni poszli pieszo, inni, do których i ja należałem, mieli jechać razem z pakunkami, ciężarowym autem. Po drodze spotkaliśmy kilkunastu robotników i dziwna rzecz, robotnicy witający nas poważnie groźnym pomrukiem, teraz gdy nas zobaczyli w prostej paczce ciężarówki, uśmiechali się do nas serdecznie, po bratersku. Auto to było widocznie wspólną platformą i punktem, na którym ginęła przepaść dzieląca zazwyczaj obecnego robotnika z duchownym.

Po kilku minutach jazdy i lawirowania, dla utrzymania równowagi, jechaliśmy bowiem na stojaka, dostaliśmy się na dworzec. Małe oczekiwanie, załatwienie spraw biletowych i już jesteśmy w drodze do Alwerni.

W pociągu ciasno, na korytarzu prawdziwe gniecenie serów, przypominające czasy, kiedy się to coś podobnego w szkole ludowej robiło. Coraz to nowe twarze, nowe stacje, ciągły ruch. Wśród kleryków jednak wesoło, jeden powie to, drugi coś innego i szybko czas leci. Obserwujemy ludzi na poszczególnych stacjach i dziwna rzecz im dalej na zachód, tem więcej Żydów, chociaż dużo ich wszędzie, tylko im dalej ode Lwowa, tem bardziej ci Żydzi rasowi. Widać ich już w Mościskach, więcej w Przemyślu, a najwięcej w Rzeszowie, nie bez racji więc nazywa się go „Mojżeszowem”. Korkociągi na kilkanaście centymetrów, chałaty, tak, że mimowoli szuka się czapki ze skórą wiewiórczą i pasiastej szabówki.

Z chwilą zbliżenia się do Krakowa, ścisk się wzmaga, za to w Krakowie pociąg pustoszeje, a do Alwerni dojeżdżamy prawie sami.

Po przybyciu do Alwerni rozlokowanie się, kolacja, pobieżne oglądanie starych kątów, wreszcie coraz ciszej w klasztorze, wszyscy idą spać zmęczeni jazdą, pakowaniem no i egzaminami.

Pierwsze dni to wypoczynek, śpi się przed i po południu, także po obiedzie zamiast życzenia wesołej zabawy, jeden drugiemu życzy dobrej nocy.

Dopiero gdy zmęczenie minie, zaczynają się klerycy krzątać po swoim 3 miesięcznym gospodarstwie. Najpierw więc przygotowanie boiska pod siatkówkę, wyszukiwanie słupków, pogłębianie rzeczki, poprawianie tamy itp. Przy tych zajęciach obmyśla się równocześnie plany przyszłych wycieczek, przechadzek, układa się programy dnia.

Jak zwykle na wakacjach, tak i teraz na pierwszym planie wycieczka do Tęczynka, któryśmy już tyle razy zwiedzali, że opowiadania tamtejszego przewodnika znamy prawie na pamięć, a nie są one znowu takie krótkie, bo trwają dwie a nieraz i więcej godzin. Mimo to idziemy tam zawsze chętnie, dlatego, że okolice są ładne i co może nawet ważniejsze, lubimy wszyscy tamtejszego przewodnika, który naprawdę zasługuje na to, zresztą i on do nas jest bardzo przywiązany. Wystarczy, żebyśmy się tam nie pokazali w pierw-

szych tygodniach lipca, to już dopytuje się wszystkich, czy nas jeszcze nie ma w Alwerni, albo czy już nie chcemy przychodzić do zamku. Na szczęście rzadko kiedy się zdarza, żebyśmy już w pierwszych dniach zamku nie odwiedzili.

Z chwilą gdy się wejdzie do zamku, przejmie człowieka jakieś mimowolne uczucie czci i szacunku dla tej dawnej potęgi, tego gniazda wielkich synów polskich. Wrażenie to potęguje się jeszcze, gdy się patrzy na przewodnika jak ten z czapką w garści, z namaszczeniem kroczy i z wielkim przejęciem opowiada o powstaniu, dziejach i upadku zamku, o jego wielkich właścicielach, o słynnych Polakach, którzy się tu urodzili i wychowali, przede wszystkim o Janie Tęczyńskim, pośle polskim do Szwecji, o jego zamiarze poślubienia córki królewskiej Cecylii, o jego przyjacielu, którego imię i nazwisko Don Alono Fernandez Gisman di Medina Coele już każdy z nas umie na pamięć. Dalej opowiada o wieży „Dorotce”, gdzie uwięziono jedną z córek Tęczyńskim, Dorotkę, za złe sprawowanie się. Zdarza się czasem, że równocześnie z nami, zwiedzają ruiny i dzieci, gdy się więc nie zachowują, tak jakby według niego w tym miejscu należało, to opowiadając o Dorotce, grozi im palcem mówiąc, że się niegrzecznie zachowywała, tak jak i one, i za to ją taka kara spotkała.

W ogóle „stary” umie dostosowywać swe opowiadania do gości, dzieciom grozi „Dorotką”, gdy my tylko jesteśmy, opowiada o samych rzeczach poważnych, gdy zaś są i letnicy, to oprócz tła historycznego, daje opisy uczt, zabaw, w ogóle zwyczajów i obyczajów.

Jeśli chodzi o nas, to może najbardziej lubiliśmy słuchać jego opowiadania o polowaniu na jelenie, które mu bardzo niszczyły buraki. Opowiadanie to było tak barwne i żywe, a do tego poparte gestykulacją starego strzelca (przewodnik bowiem jest równocześnie i gajowym okolicznych lasów), że opowiadania tego nigdy nam nie było dosyć; słowa zaś niektóre jak n. p. „Patrzą, zrom” co miało wyrażać moment spostrzeżenia jeleni, powtarzaliśmy długo w domu.

Może mi ktoś zarzucić, że pisze o przewodniku, o jego polowaniu, o samym zaś zamku zaledwie kilka słów; otóż gdyby się chciało o wszystkim pisać, to ten szkic przedłużyłby się bardzo, dlatego lepiej będzie, gdy ruiny, ich historię ujmie się w osobnym artykule, tu bowiem mam pisać nie tylko o Tęczynku, ale o całej okolicy alwernińskiej, którąśmy nieraz w czasie trzymiesięcznych wakacji własnymi nogami zmierzili.

Mniejszą już frekwencją ze strony kleryków cieszył się Lipowiec, dawna letnia rezydencja biskupów krakowskich, obecnie zaś ruiny, podobnie jak i w Tęczynku, choć może nieco w lepszym stanie. Nie ma tam jednak tego pierwiastka przyciągającego ze zamku tęczyńskiego, nie ma mianowicie nikogo, kto by potrafił zająć zwiedzających opowiadaniem.

Do najmiłszych jednak przechadzek, a raczej wycieczek, należały wycieczki całodzienne z taborem, jakto klerycy nazywali. Taborem tym nazywano szumnie patelnię, noże, łyżki, widelce no i prowianty wszelkiego rodzaju. Wychodziliśmy zwykle wczesną rano po Mszy św. po zakomunikowaniu nas przez jednego z diakonów, lub też w lecie, gdy się można było kąpać, wybieraliśmy miejsca, koło wody. Najlepiej czuliśmy się nad Skawą, rzeka ta jest bowiem otoczona grubym pasem łązy, gdzie można było swobodnie obóz rozbić, daleko to było co prawda, bo przeszło dwadzieścia km od Alwerni, ale swoboda, wszystkie w ogóle warunki potrzebne do dobrej wycieczki, płaciły dobrze za ten przydługi trochę marsz. Warto było naprawdę zobaczyć krzątanie się kleryków na takiej wycieczce, jedni pitrasili coś na tej patelni, drudzy znosili drzewo, część się znowu kąpała, łódkowała lub też wygrzewała do słońca. Jeśli chodzi o tą kąpiel w Skawie, to trzeba zaznaczyć, że każdy z niej korzystał, obojętnie czy umiał pływać, czy nie. Prąd na tej rzece jest bowiem tak silny, że wystarczyło się tylko położyć na wodzie, ruszyć od czasu do czasu ręką lub nogą i płynęło się, że aż miło.

Po tak miłej, wesołej i zdrowej spędzonej nocy powracał każdy uśmiechnięty, opalony; dlatego, gdy z początku tego rodzaju wycieczki miały wielu oponentów, później, nie było już prawie ani jednego, który by chętnie nie spieszył na „dniówkę”.

W międzyczasie urządzaliśmy wycieczki naukowe, to „naukowe” nie bardzo może pasuje do wakacji, ale faktycznie na Śląsku, w Chrzanowie, czy gdzieindziej przy zwiedzaniu różnych zakładów przemysłowych zawsze się czegoś człowiek nauczył. Nie zgłębiło się wprawdzie sedna rzeczy, które się zdobywa długą i żmudną pracą, ale nauczyliśmy się przynajmniej jeszcze bardziej cenić pracę ludzką, a zwłaszcza pracę zespołową, której skutków nigdzie może tak wyraźnie nie widzieć, jak tam właśnie.

Pod koniec lata zapal wycieczkowy minął, wszystkich zaabsorbował los naszych rodaków za Olsą. Wojenny nastrój, cechujący całą Polskę, ogarnął także i naszą klerykówkę. Naprężenie polityczne odbiło się u nas w ten sposób, żeśmy po całych dniach i długo w nocy wisieli wprost przy głośniku radiowym, słuchali dzienników polskich, niemieckich, jak też z tajnej radiostacji zaolziańskiej. Później, gdy prastara nasza dziełnica wróciła do Polski, radość nasza nie miała granic. Z jakąż radością słuchaliśmy transmisji z Zaolzia, dzienniki wyrywaliśmy sobie wprost z rąk.

Następnie, gdy się mniej więcej wszystko unormowało, wróciliśmy i my do dawnego trybu życia, z tą tylko różnicą, że zamiast całodziennych wycieczek urządzaliśmy pieczenie ziemniaków, bądź to zaproszeni przez okolicznych gospodarzy, bądź też na własną rękę.

Jak przedtem na wycieczkach, tak teraz na tych pieczeniach mogliśmy wyładowywać swój zapal wakacyjny, tak że te kilka godzin miało jak strzał. Zdawało się, żeśmy dopiero przyszli,

a tu czas odchodzić. Spieszmy więc. „Wszystkie nasze”, trzykrotnym („Pochwalonym”, „Cześć” gospodarzy i wracamy do domu).

Z końcem ostatniego miesiąca mija i ten specjalny nastrój wakacyjny. Wzmocniony organizm domaga się już pracy, nie tej dorywczej — wakacyjnej, lecz stałej, mozolnej, której się ma dosyć przez dziewięć miesięcy we Lwowie. Praca ta nie każe zaś długo czekać na siebie, bo oto znów trzeba się zbierać, wracać do Lwowa poto, by znów kiedyś można powrócić do kochanej Alwerni.

Fr Rajmund Radzięta.

Moje przeżycia z wakacji

Po dniach pracy umysłowej całorocznej nadszedł czas wypoczynku. Jak ptak zmęczony po całodziennym lataniu w przestworzach, usiada cicho na gałęzi i wypoczywa, tak i ja wypoczywałem w pierwszych dniach. Ale owa chwila spoczynku, polegającym na bezczynności, nie trwała długo, bo zaraz za kilka dni przedsięwziąłem wycieczkę za Chełm — do Pobołowic. Jechałem z tatusem samochodem do wujka, który tam ma młyn wodny. Z okna samochodu widać było wiele przepięknych rzeczy. Dzień był prześliczny. Niebo było koloru jasno-niebieskiego. Od czasu do czasu wypłynęła jakaś zabłąkana chmurka, która jak łódka po morzu płynęła spokojnie po firmamencie niebieskim. Ptaszki rozradowane śpiewały swe hymny na cześć Najwyższego. Między zbożem siedział mały, szary ptaszyna i mileżał. Ale w jednej chwili zrywa i wznosi się coraz wyżej i wyżej... w przestworza, śpiewając prześliczną piosenkę. Między innymi pięknymi widokami, widziałem, jak ziemia cofała się gdzieś szybko i znikła poza widnokręgiem. Uciekała tak szybko jakby była jeleniem lub sarną. Pola, chaty i ogrody pokazywały się w promieniach zachodzącego słońca i znikły jak w bajce. Ale samochód powoli zaczął zwalniać i w końcu stanął. Przybyliśmy do celu podróży.

Uradowany wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem powitać wujka. Zaraz po przywitaniu się, poszliśmy na pogawędkę do pobliskiego lasu. Ale tam nie mogłem wytrzymać, wołały mnie bowiem tajemniczym szumem drzewa. Wymknąłem się i pobiegłem w las. Zrazu szedłem szybko, myśląc o niebieskich migdałach, ale później zwolniłem i zacząłem się rozglądać wokoło. Las pełen był śpiewu przeróżnych ptaszków. Drzewa dumnie wznosiły w górę korony i rozmawiały między sobą szeptem. Od czasu do czasu słychać było pukanie dzięcioła, lub krzyk jakiegoś przestraszonego ptaka. Zastłuchany w muzykę lasu szedłem coraz dalej i dalej. Tam wysoko na drzewie wiewiórka popisuje się skokami z gałęzi na gałąź, gdzie indziej znów wyprawia swe harce kuna leśna. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Po przez liście drzew i igły sosen przedzierały się czerwono-

ne smugi promieni słonecznych. Na firmamencie niebieskim białe chmurki niby łabędzie sunęły chyżo na zachód i tam z białych stawały się purpurowe, jak gdyby zbroczone krwią po nieudanym zamachu pierzchały gdzieś poza widnokrąg. Dzień powoli konał... Słabym wzrokiem spojrzał jeszcze na ziemię i przymknął powieki a po licach potoczyły się krople dużych łez, które ustroiły trawy i kwiatki w różnobarwne perły. Żał mu było opuszczać ziemię...

Na miejsce dnia przyleciał ponury zmrok, który rozpostarł swe skrzydła, rzucając cień na krainę niedawno wesołą i pełną życia, a teraz cichą, pogrążoną w głębokim śnie. Wpatrzony w niebo nie zauważyłem, że zbliżył się wieczór. Gdy się ocknąłem i rozglądałem po lesie mimowoli jakiś dreszcz przeszedł mi po kościach. Drzewa stały ponure szepcząc wieczorną modlitwę. W powietrzu cisza przerażająca. Ze drżeniem biegłem z powrotem. Ale drogi nie ubywało, biegłem i biegłem a nie mogłem się doczekać końca lasu. Na około mnie stały tylko ponure drzewa z rozpostartymi ramionami, jak gdyby chciały mnie pochwycić w swoje objęcia. Serce waliło mi jak młotem. Zwolniłem... i upadłem zmęczony na trawę. Znowu zerwałem się i biegłem, ale tym razem biegłem z jakimś lękiem w sercu. Zbłądziłem mówiło mi coś w duszy, zbłądziłem... Przede mną wyłoniła się jakaś nieznana mi dotąd część lasu. Na prawo jakieś bagna i łąki z pięknymi kwiatami, które kuszą mnie ku sobie. Ale nie szedłem tam, bo coś mnie powstrzymywało od stanowczego kroku. Obszedłem wokół bagno i spojrzawszy na pobliskie krzewy skamieniałem. Serce na chwilę przestało mi bić, na głowie zaś stanęły mi dębem włosy, a z ust wypadł mi mimowolny okrzyk:

O, Jezu! i skonał na ustach, kończąc się szeptem. W krzakach coś leżało, oczy wlepiło we mnie i zdawało się, że już... już... skoczy na mnie. Powoli podnosi się... czai... i skoczyło. Jak kamień z procy wyskoczyła ku mojej radości sarna i pobiegła jak wicher w las. Odetchnąłem i powoli przyszedłem do siebie. Na myśl o sarnie porывała mnie złość a zarazem było mi wstyd, że byłem tak tchórzliwy. Powoli uspokoiłem się, ale jeszcze nie zupełnie. Gdy kroczyłem naprzód, odwracałem co chwila głowę, za każdym podejrzanym szelestem. Nareszcie... wydarł mi się z ust okrzyk radości. W tym miejscu kończył się bowiem las, a rozciągała się, jak okiem sięgnąć prześliczna łąka. Tysiące kwiatów korząc się przed Bogiem, podnosiło główki ku niebu w dziękczynnej modlitwie. O kilkadziesiąt kroków dalej wiała się modra wstęga rzeki. Odetchnąłem. Ciężar spadł mi z piersi. Byłem już pewien, że do domu wujka trafię. Żaby chórem śpiewały pieśń dziękczynną, która w ciszy wieczornej wznosiła się coraz wyżej... i wyżej... do nieba. Teraz już trafię! Tą myślą pocieszony szedłem powolnym krokiem brzegiem lasu. Już nie mnie nie zajmowało, myślałem tylko o tym, aby jak najprędzej powrócić do domu. Zza krzaków ku mej wielkiej radości, wyszedł mój bliski kolega, który zmartwiony z powodu mej nieobecności poszedł, aby mnie odnaleźć. Teraz w towarzystwie kolegi powróciłem do wujka.

Gdy doszliśmy do domu, było już dość późno. Wszyscy byli zaniepokojeni tak długą moją nieobecnością. A gdy im opowiedziałem swoje dziwne przygody, pośmiali się serdecznie. Ale teraz postanowiłem sobie, że na drugi raz, już nie będę zapuszczał się w nieznany las. *Jasiek z Gorzkowa kolegiasta.*



„Z hymniki serafickiej“

(Audycja radiowa)

„Bis orat qui cantat”. Nikt może nie zrozumiał tak dobrze tej zasady, jak św. Franciszek. Jego całe życie, to jeden, można powiedzieć, śpiew.

Śpiewał on jako wesoły młodzieniec w towarzystwie rozbawionych rówieśników, śpiewał później jako ubogi biedaczyna z Asyżu, śpiewał wreszcie na łożu śmierci. Ostatnimi słowy jego był właśnie śpiew psalmu: „Voce mea ad Dominum clamavi”.

Zamiłowanie to przeszło najpierw na jego towarzyszy, a później z pokolenia na pokolenie przechodziło aż do naszych czasów. Pewnie, osłabło ono z czasem, ale nie ma w tym nic dziwnego; tylko taka natura bowiem, jak św. Franciszek, wyzuta zupełnie ze swego ja, widziała wszędzie wszechmoc, dobroć, mądrość i miłość Bożą ku nam. Dlatego wszystkich, tak ludzi jak i zwierzęta, rośliny, „brata słońce”, ba nawet i samą „siostrę śmierć” chciał niejako wprzągnąć do tego rydwanu wielkiego „Magnificat” swego życia.

O upadku jako takim wielkiej spuścizny Bożego śpiewaka nie może być mowy. Nie brak bowiem w ciągu wieków wielkich muzyków franciszkańskich, którzy całe swe życie poświęcali nie-raz kultywowaniu tej wzniosłej sztuki. I tak „w wieku XVI znany Konstanty Borta, uczeń Willaerta, jeden z pierwszych polifonistów włoskich, był mistrzem Ludwika Viadona. W klasztorze franciszkańskim również pracował Józef Torini, teoretyk z XVIII wieku. Znanе są także takie nazwiska muzyków i kompozytorów franciszkańskich jak Benedykt Giordani, sławny bolończyk O. Martini, którego uczniem był Bach i Bossi”.

I dziś nam nie brak wybitnych muzyków franciszkańskich, w Polsce niestety mało znanych. Dlatego też, aby nasze społeczeństwo zaznajomić cośkolwiek z tymi kompozytorami franciszkańskimi, zaśpiewaliśmy w radiu 3. XII. kilka ich utworów.

Najwięcej może znanym, ze śpiewanych przez nas utworów muzycznych i najlepiej opracowanym, to „Salve Sancte Pater”. W naszym programie mieliśmy opracowanie belgijskiego franciszkanina O. Bernardyna d' Hoghe, który z wielkim zamiłowaniem już od dziecięcych lat poświęcił się muzyce.

Hymnem niejako programowym jest hymn „O divi amoris”; opiewa on już to samego św. Franciszka, jako wierny obraz P. Jezusa, już to Jego miłość ogromną do Boga i Jego stworzeń. Autorem tego na prawdę głębokiego hymnu jest O. B. Rizi. Dalej idzie hymn „Humilem spiritu” opracowany przez o. Roberta Rosso, na tle słów Pana Jezusa i zastosowanych do św. Franciszka.

Hymn „O sanctissima anima” znany z 4 października, gdyż w tym dniu co roku go śpiewamy ku czci św. Franciszka.

Ostatni hymn, to „Pochwalon bądź Panie” ks. Wiśniewskiego. W nim kompozytor, zgodnie

z duchem św. Franciszka wielbi Boga „z wszystkimi stworz.” nie omijając i brata słońca.

Czy jednak odpowiedzieliśmy swemu zadaniu, nie wiem, sąd o tym do mnie nie należy. Ja chcę jeszcze tylko dodać kilka słów o naszych wrażeniach, jakie odnieśliśmy w studio.

Przychodzimy do studia. Z jakąż ciekawością rozglądamy się po tym przybytku sztuki, radości i czego kto chce. Na pierwszy rzut oka nie widzimy nic, tylko same prawie instrumenty muzyczne; małe i duże fortepiany, fisharmonium, kotły, bębny, gitary i t. p. To wszystko zdaje się przygniatać człowieka. W sali ciepło, a nam i tak gorąco, jak my tu będziemy śpiewać. — Będzie fiasko — słysząc tu i ówdzie. P. Profesor widzi nas stremowanych, pociesza nas więc i uspakaja.

Przychodzi do nas referent muzyczny; robimy próbę przed mikrofonem. Wszystko dobrze, ale — nie bez ale, — zanadto „pary dajemy”, wskutek tego piano wychodzi dobrze, forte jednak coś źle brzmi w mikrofonie. Jest to całkiem zrozumiałe. Jest nas przecież kilkudziesięciu, sala zaś chociaż nie taka mała, to jednak niedostateczna na taką ilość ludzi. A do tego te sprzęty, kotary, mikrofony jeszcze ją bardziej pomniejszają.

Śpiewamy drugą pieśń, te same uwagi.

Ostatecznie, jeśli nie gorszego nie będzie, to można wytrzymać, pocieszamy się i czekamy niecierpliwie swojej godziny.

Wreszcie zaczynamy.

Ukazuje się bowiem niebieskie światło, znak, że speaker już zapowiada. Dyrygent podaje ton, ostatnie odkaszlnięcia i już widać czerwone światło, mikrofon otwarty. Śpiewamy.

Jeżeli nie wypadło wszystko, jak należy, to prosimy o pobłażliwość; poprawimy się na drugi raz, o ile nas oczywiście puszcza jeszcze do studia.

Uczestnik.

Podniosła uroczystość poświęcenia sztandaru gimnazjum OO. Bernardynów w Łodzi

Dużo się pisze dzisiaj o Łodzi. Jedni zwracają uwagę na jej przemysł, drudzy na jej charakterystyczną malowniczość, inni na to, że jej osławione „kocie łby” wypiera asfalt, a niesympatyczne rynsztoki... postępowe, podziemne kanały. Mnie w tej chwili interesuje nowe Gimnazjum pod wezw. św. Antoniego O.O. Bernardynów na Dołach. Powstał tu niedawno, niespodziewanie, jakby ukradkiem, cudowny gmach gimnazjalny z kościołkiem, gdzie już od dwu lat wre praca szkolna i wznoszą się modły do Odwiecznego. Tu gdzie były doły i jamy, dziś wznoszą się dwie okazałe budowle i ślicznie wyplantowany ogród. Daleko od fabrycznych kominów, zgiełku wielkomiejskiego, na słonecznych błoniach tętni życie, do niedawna będące tęczowym snem pracowitego, jednego człowieka.

Przed kilku dniami byłem na uroczystym poświęceniu sztandaru gimnazjalnego.

Podniosła uroczystość!

Mały kościółek klasztorny a zarazem gimnazjalny — nie mógł pomieścić zebranych. Po podniosłym kazaniu i uroczystym nabożeństwie, na którym Ojciec Gwardian dokonał poświęcenia sztandaru, rzeka pochodu do sali gimnastycznej gimnazjum nie miała końca. Sztandar z Matką Bożą Częstochowską i Białym Orłem wzbudzał w sercach najlepsze uczucia. Nie tylko uczniowie i rodzice uczniów cisnęli się na uroczystą akademię. Toteż sala gimnastyczna wypełniła się po brzegi. Po przemówieniach, pełnych gorących uczuć, zachęcających młodzież do pracy dla Boga i Ojczyzny, wygłoszonych przez O. Gwardiana, A. Pankiewicza i Dyrektora gimnazjum, Dr L. Kalisza — wystąpi-

ła młodzież z pełnymi ognia odczytami i deklamacjami, z których niejedne jak rotty przysięgi przelatywały w wichrze zapалу nad zebranymi.

W uroczystej ciszy jak języki ogniste ożywiły sztandar i zafalowały we krwi dzwoniące słowa pierwszej strofy okolicznościowej, chóralnej deklamacji:

Święte włókna twoje, Sztandarze;
W nich płomień wielkiej myśli drży,
Danyś nam został przed ołtarzem,
Falujesz w nurcie naszej krwi!
Pochyliła las młodych dusz pełna wzniosłości druga strofa:

Chylim przed tobą kornie czoła,
Serc ci rzucamy bujny splot,
W pachnące uczuć zdobim zioła;
Radość nasza ma górny lot!
Wiły się jak tęcze, otwierały wiedzy i mądrości wrota, prowadziły do „sławy grodu”, raketami blasków i mocy wybuchały w duszach następne:

Honoru tyś naszego znakiem!
Bezcenna czerwień i biel twa
Z Królową Polski, z Polski dumnym Ptakiem;
W duszach nam pieśń tęczową grasz!

Częstochowska, Polski Królowa,
W pochodzie poprzez trudny szlak
Przed jamą złego nas zachowa,
A wiódł nas będzie chrobry Ptak!

Gdzie wiedzy i mądrości wrota,
Z tobą, Sztandarze, pójdziem wzwyż,
Aż nam ich wnętrze zamigota
Blaskami diamentowych nisz!

Nie będzie między nami raba,
Którego by trud złamał, zgiął,
Wtrąciła w gnuśność wola słaba;
Każdy się w górę będzie piął.

I człowieczeństwa pełnię złotą
Gwałtem z edeńskich skuje lśnień,

Bo złuda, fałsz go nie omota;
Z nocy swej duszy stworzy dzień!

Ostatnia strofa bez lęku wdarła się w mroczny ostęp życia, migotała bajecznym kwiatem paproci i lśniła złotym wawrzynem dla zwycięzców:

Żaden nie spocznie, aż paproci
Bajeczny kwiat pochwyci w dłoń,
Żaden nie spocznie, aż ozłoci
Zwycięstw wawrzynem dzielną skroń!
Powtórzyła się jak echo z oddali, by w sercach została świętym ślubowaniem.

Gdy zebrani powstałi, by w końcu wysłuchać pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła”, widać było na twarzach uniesienie.

— o —

Po skończonej akademii zwiedziłem całą szkołę.

Sala gimnastyczna (od niej zacząłem moje oględziny) bogata i duża, zaopatrzona w najnowocześniejszy sprzęt gimnastyczny. Jadalnia szkolna pełna światła, mocnych ław i stołów, z królującą między nimi nowoczesną kuchenką. Na ścianach piękne obrazy. Najwięcej — pędzla Dyrektora gimnazjum, Dr L. Kalisza. Przeważają wśród nich pejzaże.

Idę dalej na górę. Poczekalnia, pokój profesorski — salony! Gabinet dentystyczny, lekarski, gwardiana, dyrektora, kancelaria — cacka! Świetlice, sale rekreacyjne, sale szkolne, internat, gabinety: przyrodniczy, fizyczny, chemiczny, biblioteka — świecą się pierwszorzędnym parkietem. Nawet wygodki jak z bajki! Westchnąłem zadumany. Szafy gabinetów objęzione, od mikroskopów począwszy a skończywszy na okularach do obróbki szkła, pomieszały się w mej głowie z gimnazjalnymi, dawnymi wspomnieniami: dawniej było inaczej!

Należy powinszować Łodzi takiego gimnazjum, a dzieciom łódzkim pozazdrościć prawdziwie nowoczesnej kuźnicy wiedzy.

Mgr Władysław Długosz

Święty Mikołaj na lwowskiej klerykówce

Tego roku przyjsie św. Mikołaja, na lwowską klerykówkę miało zupełnie inny charakter, niż w uprzednich latach. Dawniej całość polegała na tym, że św. M. w otoczeniu aniołka, i kilku diabłów chodził od celi do celi i rozdawał podarunki, prawiąc przy tym każdemu jakieś nauki moralne, spirytualne etc. Oczywiście, że i tam było dużo śmiechu, bo „wice”, choć improwizowane przez św. M. i harce diabelskie, naprawdę tryskały humorem.

Tego roku przystąpiono do rzeczy poważniejszej, postanowiono z racji przyjsia tak zacnego gościa ułożyć i odegrać na scenie, coś arcyckiego. A więc utworzył się „komitet” pod protektorem wice-dziekana, który polecił „nadwornemu klerykowskiemu skrybie” napisać coś, byle wesołego, oryginalnego, szczerze klerykowskiego i nadającego się na scenę. No i ten siadł, przywiódł

sobie na pamięć wszystkie dowcipy, „wice” etc. klerykowskie, przebiegł myślą wszystkie klasztory, wszystkie typy klerykowskie, konwenckie i z prowincji, no i po jakimś czasie złożył całość, odczytał przed „komitetem”, uznano ją za dobrą i postanowiono „wystawić” na scenie.

Dnia 5. b. m. t. j. w wigilię św. Ofiarodawcy, cały konwent in gremio, wraz z N. O. Prowincjałem, O. Kustoszem zgromadził się na korytarzu przed sceną, w celu wysłuchania i zobaczenia tej „arcyśmiesznej” (co za pretensje!) i „arcyorginalnej komedii” (?) Aby też ta komedia nie zamieniła się w tragedię! — brzęknęło coś koło uszu tych, co w niej swój palec umaczali. — Czekaj, czekaj, myślisz, że byle czym zadowolisz i zabawisz konfratrów?!

Kurtyna idzie w górę...

Scena przedstawia jakąś starą lwowską rupieciarnię, po której skacze Syrsyń, diabeł lwowski, i w długim monologu (wściekły) przedstawia swoje opuszczenie, nadmiar pracy i t. d. Otrzymuje list, że stary sokalski diabeł Trębajło zjedzie do Lwowa na zlecenie wyższych władz i powodowany smutkiem za klerykami, a z nim przyjedzie i sam minister propagandy, Kaduceusz. Po jakimś czasie są obydwaj na scenie, powitanie i t. d. Trębajło nie dowierza słowom Syrsego, o zupełnej przemianie swych sokalskich „wychowanków” na lwowskim gruncie. Syrsyń przedstawia ogrom pracy w lwowskim konwencie i zupełny brak owoców tejże. Kaduceusz wobec tego obejmuje władzę nad obydwoma, pyta się o miejsca, gdzie można najwięcej ułoić, Syrsyń wylicza: klasę, kaplicę, cele, refektarz (!), charakteryzuje poszczególne roczniki, ugrupowania, kategorie kleryków i t. d.; następuje podział pracy, Trębajło dostaje refektarz, Syrsyń będzie działał w celach i klasach (!), Kaduceusz w kaplicy. Znikają.

Po chwili wlecze się na scenę Trębajło i w długim monologu mówi, że w refektarzu nie nie wskórał, co więcej „w zęby dostał”, powtarza więc beznadziejnie smutno: „Takie ściirwo, taka stara krowa i nie kłać!” Poczym wykrzykując wpada na scenę Syrsyń i opowiada swe sukcesy w klasach i celach, w końcu Kaduceusz, wściekły, bo jego operacje w kaplicy zawiodły zupełnie. Wygania więc „swinie paść” Trębajłę za niedołączną ofensywę w refektarzu, przegania i Syrsynia, że źle pracował tu dotychczas. Po chwili jednak odwołuje ich, jedną się i na konto przyszłych sukcesów idą w tany i śpiewają, a Trębajło gra na skrzypcach i końskim głosem od czasu do czasu pokrzykuje: „Uha, ha!” Tany diabelskie budzą sumienie klerykowskie, które przegania diabłów i zapowiada przyjęcie św. Mikołaja.

Odsłona 2. Na scenie stoi sumienie klerykowskie, za oknami diabły, z lewej wchodzi aniołek trąbiąc, z podarunkami i św. M. Święty wita wszystkich słowy: „Pochwalony”, mówi o powodach przybycia, gorszy się bardzo, iż to we lwowskim konwencie spotyka aż tylu diabłów, sumienie jednak uspokaja go, mówiąc, iż „oni tylko tak z ciekawości, w gościnę!”

Z kolei święty opowiada o swych licznych przygodach w niebie, na ziemi, w naszym klasztorze X., i czyta pamiętnik w formie relacji, w którym opisał spostrzeżenia odniesione w naszych poszczególnych klasztorach, a więc w Rzerzowie, Alwernii, Kalwarii, Krakowie, Rzeworsku, Samborze, Zbarażu, Leśniowie, Krystynopolu, Sokalu i Radecznicy, których jednak żadnym sposobem na tym miejscu opisywać nie mogę. Chyba tylko, jeśli idzie o Radecznicę, to radził z powodów kulturalnych (?) przenieść Drukarnię gdzie-

indziej i mimochodem, powiedział, iż klasztorne auto nosi szumny napis: „Darowanemu koniowi nie zaglądać w zęby!” No i wreszcie przybył do Lwowa; tu przygoda przy furcie, liczne spostrzeżenia na korytarzu, wrażenia na widok dzisiejszej klerykówki („No, ale ogółem mówiąc klerykówka mi się udała, nie ma co!”) Potem „gwoli rozrywce i przykładowi” mówi o swych młodzińskich latach, o swych niezapomnianych magistrach, profesorach, charakteryzuje ich, no i w końcu przychodzi do rozdawania podarków, w formie książek, z odpowiednimi tytułami i cukierków. Oczywiście, że i o tym nie można pisać, gdyż „verba volant, scripta manent!” Po odejściu Mikołaja diabły z drugiego wychodzą na plan pierwszy, zirytowane bardzo, że im Mikołaj wszystko pokielbał! — Na tym koniec.

A teraz jeszcze słów kilka o osobach farsy.

Syrsyń, diabeł lwowski, to sangwinik, diabeł bardzo przemyślny, od niego bardzo odbija flegmatyczny, zrezygnowany, rozleniwiały, diabeł sokalski, powtarzający w kółko: „Takie ściirwo, taka stara krowa i nie kłać!”, lub „O co idzie, fraterkowie, hę?” No i wreszcie Kaduceusz, minister propagandy, diabeł o charakterze złośliwym, ognistym, władczym i wojskowym. Św. Mikołaj, to stary rubacha, wielki gaduła i obserwator, przed którego okiem, nic się nie ukryje, wszystko podpatrzy i t. d. Sumienie klerykowskie, to postać sztywna, na ogół cierpliwa, poirytowana, jednak daje diabłom srogie lanie. I wreszcie aniołek, któremu jednak nigdy nie daje przyjść do głosu św. Mikołaja („A zresztą co ty wiesz, kiejs nigdy tego nie wachał!”)

Jeśli idzie o całość to wypadła naprawdę bardzo dobrze, na poświadczenie czego mogą służyć liczne kilku dziesięciokrotne oklaski i radość prawie co kika słów (zwłaszcza św. Mikołaja) padały z widowni oklaski, rzadko na takich imprezach spotykane. A trzeba wiedzieć, że cała rzecz trwała blisko półtora godziny. Półtorej godziny naprawdę zdrowego, „naszego” humoru, radości i śmiechu, aż do łez — to rzecz niebywała w naszym dość jenostajnym klerykowskim życiu. Oczywiście, że to sprawozdanie suche i martwe żadnym sposobem nie może zobrazować tego, co było — taką chwilę trzeba koniecznie i to koniecznie przeżyć! — A jeżeli były jakieś niedociągnięcia w akcji, w wyborze „wiciów”, a nawet i w grze samych aktorów, darujemy im to chętnie, wychodząc ze założenia, że „sztuka” ta nie była przeznaczona do druku, ani na wystawienie na deskach teatru, ale jedynie i wyłącznie na chwilowe bodaj rozweselenie konfratrów, a ponieważ to zrobiła — zrobiła wszystko!

„Komitetowy”.

**Prosimy bardzo Wszystkich naszych Drogich Czytelników o złożenie chociaż
małego datku na fundusz prasowy Młodzieży Serafickiej i na drukarnię.**



Z radecznickiej niwy

Tak jak niegdyś przed laty, przed wiekami, w ubogiej, lichej stajence, tak i dzisiaj przyszedł do nas maluczkich On Wielki Chrystus — nasz Bóg. Przyszedł, aby nieść sławę, otuchę tym, którzy smutni i nieszczęśliwi. I tak będzie zstępował po wiek wieków w świętą rocznicę w tajemniczy sposób z boskiego tronu Swojego Majestatu, aby się narodzić w duszach ludzkich, by rozświecić ich znękanę serca promieniem otuchy i pocieszenia, promieniem niegasnącej wiary w triumf ostateczny Swojego Słowa.

* * *

I znowu zabłysła gwiazda.

Jasno, gwaro, wesoło w każdej wiosce, na każdej ulicy, w każdym domu — każdym sercu ludzkim. Ziemia cała skrząca bielą śniegu, sypie kaskady drżących, tęczowych odbłasków, w promieniach mroźnego zimnego słońca.

Rozmaitości

Dnia 4 br. zmarł we Lwowie J.E. Ks. Arcybiskup Teodorowicz wielki patriota i jeden z najgłębszych i najwybitniejszych kaznodziej polskich.

Japońska kompozycja* muzyczna na Boże Narodzenie. Z Tokio donoszą, że dwaj młodzi muzycy japońscy, Shuichi Tsugawa i Kiyoshi Saito wykończyli ostatnio wielką kompozycję religijną p. t. „Boże Narodzenie i Pokój na Wschodzie”. Kompozycja składa się z dwóch części. Pierwsza o charakterze wybitnie religijnym, rozpoczyna się hymnem anielskim i zawiera ilustrację muzyczną hołdu pasterzy przy Żłóbku w Betlejem, oraz liczne inwokacje, modlitwy i hymny pochwalne dla Dzieciątka Jezus. Druga część rozpoczyna się hymnem japońskim przechodzącym w hymn „Pokój na Wschodzie”. Modlitwa za ojczyznę, kończąca się wielkim wybuchem entuzjazmu z powodu pokoju, który Narodzeniem swym zwiastował Chrystus, zamyka całość kompozycji. Prasa japońska wyraża się o tej kompozycji z wielkim uznaniem, a władze postanowiły zakupić ją dla celów propagandy. Pewna ilość egzemplarzy tej kompozycji ma być wysłaną również zagranicę.

Nie „sława dyktatorom” lecz „Zdrowaś Maryja”. Na ostatnim zjeździe burmistrzów miast amerykańskich

w Hawanie przemawiał m. in. burmistrz Nowego Jorku La Guardia, który nawoływał do realizowania hasła miłości a nie nienawiści. „Uczmy nasze dzieci miłości bliźniego — mówił — a nie wzajemnej nienawiści, uczmy je, by się modliły: Zdrowaś Maryja a nie okrzyków: sława dyktatorowi!”

Powołania kapłańskie w Anglii. Kardynał Hinsley w ostatnim swym liście pasterskim porusza sprawę kształcenia młodych kandydatów do stanu kapłańskiego. Na to by studenci teologii archidiecezji westminsterskiej mogli otrzymać odpowiednie wykształcenie i wychowanie potrzebna jest suma około 100.000 funtów szterlingów jako kapitał zakładowy. Wobec braku kapłanów katolickich w Anglii i licznych powołań kapłańskich kardynał Hinsley zwraca się z apelem do wiernych aby składali na ten cel ofiary w miarę możliwości swych środków materialnych.

Ojciec św. słucha dzwonów z Desio. Ojciec św. wyraził niedawno pragnienie usłyszenia choć raz jeszcze dzwonów kościoła rodzinnego swego Desio. Aby zadośćuczynić temu pragnieniu, muzykę tych dzwonów utrwalono na płytach gramofonowych i przesłano Ojcu świętemu.

Stolica Apostolska* posiada przedstawicieli w 57 krajach. Liczba przedstawicieli Stolicy Apostolskiej, zarówno mających charakter oficjalnie dyplomatyczny, jak i niedyplomatyczny, powiększyła się za pontyfikatu

Tak, Boże Narodzenie — to święto pogody, radości, wesela. Z bezmiarów niezmierzonej przestrzeni migoce do nas gwiazdka, kusi i wabi do siebie ogromem swej tajemniczości. Zapłonęła drżąca wśród nas, choć tak daleka, a jednak tak bliska. Płonie w każdym domu, od niskiej skromnej strzechy począwszy, nie omijając nieszczęsnej sieroty i nędzarza, w każdym najbiedniejszym i najsmutniejszym sercu niecąc uśmiech bodaj przelotnej pogody.

Uśmiechnij się!

Uśmiechnij się ty mędrco, bo szukana przez cię planeta znalazła się.

Uśmiechnij się ty kapłanie, bo to światło przewodnie dla twych wiernych.

Uśmiechnij się robotniku, bo młot twój już skrzesał iskrę szczęścia i dla ciebie!

Uśmiechnij się i ty wieśniaku, bo do zagrody twej Bóg zstąpił i łan twój stokrotny plon wyda!

* * *

A w cichej chacie pachnie pod białym obrusem wonne siano.

I dzieci i dorośli zebrani wokół choinki. Płomyki świeczek rzucają na ścianę migotliwe blaski. Jest tak cicho — tak spokojnie — zacisznie. Za oknem ściele się śnieg puszysty, a taki miękki i tak go już dużo, a on wciąż jeszcze pada — coraz go więcej — coraz więcej. Jakże droga jest ta chwila w wieczór wigilijny, gdy otaczają człowieka piękne zamiary i dobre chęci i szepcą:

— Jesteśmy — pamiętasz?

Szczęśliwy ten, kto patrzeć na nie i słuchać ich spokojnie może, ten kto zamiary i chęci wytrwale na uczynki przekuwał. Szczęśliwy ten, kto godnie te święte chwile wigilijne przeżywa. Wtedy Bóg się rodzi w jego sercu. I pójdzie ten w życie bez lęku. Pójdzie choć wokół chmurno i mglisto. Choć teraz dmucha zimny wicher, on będzie miał uśmiech na twarzy, a w piersi wiarę, że z nocy jest droga do słońca, i dola zabłyśnie mu w tęczy, bo ma w swym sercu — szopkę betlejemską.

Tego szczęścia, tej świętej pogody życzymy wszystkim.

Kolegiaści.

Ojca św. Piusa XI bardzo znacznie. I tak w r. 1922 tworzy papież delegaturę apostolską w Chinach i w Afryce Południowej, następnie w Indochinach (1925), w Eritrei i Abisynii (przekształcone w 1937 r. na delegaturę włoskiej Afryki zachodniej), w Bułgarii (1931) oraz w Anglii (1938). Razem powołał do życia Pius XI osiem nowych delegatur apostolskich. Watykan posiada obecnie przedstawicieli w 57 krajach, 37 przedstawicieli Stolicy św. występując w charakterze posłów lub ambasadorów a 20 przedstawicieli są to delegaci apostolscy do spraw kościelnych danego kraju.

* * *

Aby uratować Francję potrzeba bohaterów i świętych. W bazylice Sacro Coeur na Montmartre odbyło się w tych dniach uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez arcybiskupa Paryża, kardynała Verdier. Na nabożeństwie było obecnych kilka tysięcy młodych katolików. Po Ewangelii znany ze swego krasomówstwa kanonik Chevrot wygłosił przemówienie, nawołując młodzież katolicką do zajęcia odważnej i pełnej godności postawy wobec toczących się obecnie wypadków politycznych we Francji oraz do skupienia się w szeregach Akcji Katolickiej. „By móc uratować Francję — mówił ks. Chevrot — musimy być bohaterami i świętymi... W przeciągu 20 lat przeżywalismy kryzys autorytetu... Stoczyliśmy się tak nisko, ponieważ w zeszłym stuleciu wygnano zewsząd Boga... Chcąc odrodzić Francję należy

przede wszystkim pogodzić ją z Bogiem, przywrócić w niej kult obowiązku, pracy, czystości, miłosierdzia, lojalności, radości... W ten sposób przywrócić Francji i siły i autorytet”.

Przerażająca statystyka amerykańska.

Ostatnio opublikowano w St. Zjedn. szczegółowo opracowaną urzędową statystykę, która zajmuje się zbrodniami i nieszczęśliwymi wypadkami za rok ubiegły.

Jak wynika z tych cyfr, w ciągu ubiegłego roku w Stanach Zjednoczonych straciło życie w nieszczęśliwych wypadkach 110.000 osób, w wypadkach komunikacyjnych 380.000, wskutek wypadków w gospodarstwach domowych 385.000. Dwie trzecie wypadków komunikacyjnych wydarzyło się w porze nocnej, kiedy komunikacja, z reguły jest słabsza.

Co roku ofiarą morderstw w St. Zjednoczonych pada ponad 11.000 osób. Najczęstszymi ofiarami morderstw są właściciele szynków, policjanci, marynarze, kupcy szoferzy.

Z Koła Misyjnego.

Dnia 3. XII. odbyło się zebranie misyjne oddz. kl. IV. Na zebraniu odczytał referat kol. Kaniuka p. t. „Polska a Rzym w dobie Piastów”. Na zebraniu tym podał się do dymisji sekr. klasowy kol. Stachurski. Rezygnację przyjęto a sekr. i skarb. został kol. Kaniuka. — Zebranie zakończono modlitwą.

Dnia 4. bm. na zebraniu misyjnym kl. I. kol. Kokosiński odczytał referat p. t.: „Jak pomagać misjom”. Kol. Wysocki jako prezes klasowy przedstawił członkom dotychczasową działalność Kółka. Zebranie zakończono modlitwą. — Tego też dnia było zebranie Kółka kl. II. Po odczytaniu protokołu z ostatniego zebrania, kol. Żyła M. odczytał referat p. t. „Eucharystia jako Ofiara”. Następnie nastąpiła zmiana tajemnic Różańcowych i modlitwą zakończono zebranie. St. M.

Z Kółka L. O. P. P. Dnia 25 listopada odbyło się zebranie Szkolnego Koła L. O. P., na którym kol. Nawosad odczytał rzecz o polskich samolotach najnowszej konstrukcji. Nazwy tych samolotów brzmią: „Sum”, „Łoś”, „Wilk”, „Wyżeł”, „Wicher”, „Mewa”. Zostały one ostatnio wysłane na międzynarodową wystawę lotniczą w Paryżu i cieszą się tam wielkim powodzeniem u zwiedzających i są podziwiane również przez obce władze wojskowe. Wł. M.

Z Koła L. M. K. Dwudziestolecie L. M. K.

Całe państwo polskie obchodziło w ostatnią niedzielę listopada dwudziestą rocznicę powstania L. M. K. Tak samo i u nas w Kolegium w dniu tym odbył się wieczorek, na którym przypomnieliśmy sobie o zadaniach i celu L. M. K. Głównym punktem tego wieczorku był referat kolegi T. Altbauma. W referacie tym przedstawił nam prelegent dokładnie dzieje L. M. K. Tak więc dowiedzieliśmy się, że przed 20-u laty powstała mała organizacja pod nazwą „Bandera Polska”. Następnie ta mała organizacja stała się wielką, pod nazwą: „Liga Żeglugi Polskiej”, która zajmowała się flotą handlową i wojenną. Wśród wielu prac jakich dokonała Liga są: budowa kilku torpedowców, kontrtorpedowców i innych oraz budowa floty śródlądowej, na rzekach Wiśle i Pinie. Oprócz tego Liga zabiegała o kolonie. Stara się więc o wpływy w Liberii i Paranie. Tak samo działała Liga przy rozbudowie Gdyni. Referent wspominał też o zasługach Bolesława Krzywoustego, który dążył do posiadania brzegów Bałtyku, i pierwszego prezesa L. M. K., którym był generał Orlicz-Dreszer. Po przeczytaniu referatu, przemówił O. Rektor. Zachęcał członków L. M. K. do pracy w tym Kółku. Wieczorek był upiększony przez deklamacje o treści morskiej, śpiewy i orkiestrę.

Kółko Naukowe. Dnia 14. X. miał p. dr. Gawlik bardzo ciekawy odczyt o rakiecie. Fascynujący temat pochłonął wszystkich słuchaczy

Przyczyny tej przerażającej zbrodniczości dopatrują się fachowcy w szwankującym pod niejednym względem wymiarze sprawiedliwości, dalej w braku ograniczeń sprzedaży broni palnej, w wielkiej demoralizacji młodzieży, pozbawionej opieki.

Nowy kauczuk syntetyczny produkuje się w COP.

W jednej z fabryk zbudowanych w Dębicy na terenie Centralnego Okręgu Przemysłowego produkuje się nowy typ kauczuku syntetycznego. Biała guma, sztuczna, ale prawdziwa nazwana została kerem. Ker jest polskim produktem, wytworzonym przez polskich inżynierów, polską metodą i polską aparaturą.

Jeżeli idzie o porównanie z niemiecką „buną” ker jest czterokrotnie tańszy i posiada większe wartości techniczne.

H U M O R

Żłodzięj został skazany na areszt.

— Panie sędzio, czy nie mógłbym tego później odsiedzieć?

— Dlaczego?

— Bo teraz mam sezon, jest dużo roboty!

* * *

W klinice szpitalnej profesor mówi do studentów otaczających łóżko chorego:

— Niech panowie zwrócą uwagę na to znużone spojrzenie, na bezkrwiste wargi i odstające blade uszy...

Chory przerywa: — No, no, panie doktorze, pan też nie grzeszy urodą!

* * *

— Dokąd idziesz?

— Do weterynarza, bo mnie koń w głowę kopnął.

— Jakto? Idziesz do weterynarza?

— Tak, bo koń sobie kopyto uszkodził!

* * *

Gość w dom, nie kijem go, to pałką.

Kto rano wstaje, ten sam wpada.

* * *

— Ostatni raz zwracam się do ciebie: kiedy mi oddasz moją książkę?

Naprawdę po raz ostatni? Nareszcie będę miał spokój.

Niniejszy numer został powiększony z okazji Świąt Bożego Narodzenia.

Normalnie zaś Młodzież Seraficka obejmować będzie

16 stron druku.

i pozwolił przenieść się lotnej wyobraźni w nieznaną krainę, gdzie to wiedza „nowości potrąca kwiatem”. Przedstawił p. dr., a nasz kochany prof., w zimnym świetle cyfr możliwości wędrówki międzyplanetarnej. Wskutek niezmożonej energii człowieka możliwości te stają się coraz bliższe. Należy tylko w wysiłkach nie ustawać. Per aspera ad astra.

Z okazji rocznicy powstania listopadowego miał p. dr. Gawlik, odczyt o Nieznanym Żołnierzu. Odczyt był bardzo ciekawy i nastrojowy. Gdy Szanowny prelegent odtworzył nam gigantyczne zmagania się żołnierza polskiego z przeobrzynią nawałą nieprzyjaciół, aż do zupełnego pokonania ich i tryumfального zwycięstwa. Ale pola zasłane były dziesiątkami tysięcy naszych trupów, a tyśiące było takich, których nazwiska nie można było nawet sprawdzić: to jest ten Nieznany Żołnierz. Takiego to Nieznanego Żołnierza wydobyto z cmentarza Obrońców Lwowa i po przesłicznej uroczystości żałobnej we Lwowie, przewieziono do Warszawy i pochowano na Pl. Marszałka Piłsudskiego, gdzie pali się przed nim na wieczną pamiątkę Znicz. Cześć Jego bohaterskiej pamięci.

Dnia 30. XI. Sekcja polonistyczno-historyczna urządziła zebranie, na którym był odczytany aktualny referat p. t. „Centralny Okręg Przemysłowy”. Referat opracował kol. Jodłowski Tadeusz. Temat był opracowany bardzo rzeczowo. C. O. P. ten nowy dowód tężyzny i żywotności młodej Polski jest naszą dumą narodową i budzi gorący zapal w młodych sercach i silną wiarę w siebie. Referat skorygował i uzupełnił pierwszorzędnie kolega Żenkin. Po ukończeniu dyskusji, jaka się na ten temat wywiązała zabrał głos kol. Kowalczyk, prezes Kółka Naukowego. W krótkich słowach przedstawił bilans pracy tejże organizacji i zachęcił członków, by nadal chętnie i ofiarnie w niej pracowali. Podkreślić należy chętny i ofiarny udział we wszystkich występach naszych kolegów z orkiestry. To też serdecznie składamy podziękowanie jej kapelmistrzowi p. Koszowi i życzymy dalszej, równie owocnej pracy, jako też i naszym kolegom muzykantom. E. K.

Uroczystość zastępów cecyliańskich. Wszystkie zawody i stany mają swych Patronów, którzy są przewodnią gwiazdą wśród szarych dni



U fryzjera:

- Jak pan myśli, czy będę miał zarost?
- Hm, wątpię.
- Mój ojciec miał wąsy ogromne.
- A w takim razie niewątpliwie pan dobrodziej wdał się... w mamę...

* * *

Nieszczęśliwy...

Przed kościołem stoi żebrak w łachmanach i zawodzi:

— Miłosierne osoby, zlitujcie się nad człowiekiem, który nie jest ani ślepy, ani kulawy, ani sparaliżowany i ma z tego powodu bardzo utrudnioną karierę żebracza.

mozołu. Muzyka i śpiew — to dwa czynniki, które odgrywają wielką rolę w życiu naszym. Więc i one posiadają swą św. Patronkę w niebie, która ma je w Swej czulej opiece. Patronką tą to św. Cecylia, ta, która bardzo umiłowała muzykę i śpiew kościelny. Uroczystość ku Jej czci przypadała 22 listopada. Nie więc dziwnego, iż Kolegium wzięło czynny udział w tym wielkim hymnie pochwalnym, ku uwielbieniu Wielkiej Pieśniarki. W wigilię Jej święta odbył się u nas uroczysty wieczorek. — Zagał go O. Prefekt dłuższym i pięknym przemówieniem. Pięknie uwypuklił cel śpiewu. „Kompozycja w wykonaniu — to obraz różnorodnego życia ludzkiego”. „Człowiek musi śpiewać, gdyż dusza nasza potrzebuje tonów...”. Śpiewamy lub gramy, bo czujemy i potrzebujemy odbicia się od ziemi, złączenia się z potężną harmonią stworzenia... Śpiewamy lub gramy, bo wszyscy czujemy potrzebę przywiązania do tonów. Mowę zakończył wezwaniem, abyśmy pokochali śpiew i muzykę, gdyż one przyczynią się w znacznym stopniu do urobienia naszych charakterów. — Z kolei chór odśpiewał kilka piosenek. Spisał się dosyć dobrze. — Dalszym punktem programu była deklamacja przepięknego utworu fr. Marka Pocięchy p. t. „Patronko pieśni”. — W końcu zabrał głos sam O. Rektor. Przede wszystkim podziękował serdecznie wszystkim, którzy przyczynili się do uświetnienia wieczorku i w ogóle tak ofiarnie pracują. Nie zapomniał również podkreślić wielkiego znaczenia tonów w życiu. Wskazując na św. Cecylię, jako patronkę pięknego śpiewu, i muzyki, zachęcił nas do chętnego brania udziału w tych dwu rodzajach „sztuk pięknych” mających tak wielkie znaczenie. Trzeba zaznaczyć, iż czynny udział w wieczorku wzięła także orkiestra kolegiarna. F r a n e k.

Kolegialne przechadzki. Młodzież potrzebuje wolności i radości. Wiedzą o tym nasi Przełożeni i dokładają wszelkich starań, by nam, kolegiastom dać pole do wyładowania naszej radości życia. W tym celu ustanowiono w Kolegium sport, postarano się o różne rozrywki i przewidziano w programie przechadzki. Przechadzki te urząda się w popołudnia niedziel, wtorków i czwartków. Wszyscy kolegiastci, pod czujnym okiem br. Rafała i br. Apolinarego, ruszają pod wodzą głównego „kapitana” sportowego Kolegium, kolegi Stachurskiego, na przechadzkę. Naturalnie w czasie spaceru śmiechu, żartów i wybryków jest pod dostatkiem, ale wszystkiego w miarę. Pierwsi krocą pierwszacy, nadzieja Kolegium, dumni z czołowego stanowiska, a na końcu śmietanka kolegiarna, mająca już miejsce na wąsy, poważni czwartacy. Ci już nie brykają, gdyż to ubliżałoby ich godności. Powaga ta obecnie da się zupełnie dobrze uzasadnić, gdyż trzeba (w sekrecie) wyznać, że nawet „wszechuczeni” czwartacy dostają drzączki na samo wspomnienie o egzaminie, który też dla nich szybko się przybliża. Przechadzka taka trwa przeważnie godzinę. A choć pod koniec ogarnia kolegiastów lekkie zmęczenie, to jednak uśmiech nie schodzi z ich

ust, i pozostaje na nich nawet w czasie nauki, która teraz idzie o całe niebo lżej i milej. Lecz kolegiąści pragną czegoś więcej, zwłaszcza teraz, na progu zimy, pragną śniegu, który jednak jak na złość nie chce nadchodzić. Gdy jednak nadejdzie, wtedy dopiero nastanie prawdziwy raj na ziemi dla nas.

Lupus.

Gimnastyka i sport. Prócz przepisanych godzin gimnastyki, którą prowadził początkowo p. prof. mgr. Romuald Radzoń, a od pocz. listopada, p. prof. mgr. Tadeusz Gabrys, jest w Kolegium przeprowadzana codziennie gimnastyka poranna (szwedzka). Z początku miała ona miejsce tuż przed lekcjami a mniej więcej od pocz. listopada, odbywa się przed śniadaniem. Poza tym w czasie rekreacji uprawiają uczniowie różne gry i zabawy; w pierwszym rzędzie siatkówkę. Drużyny klasowe prowadziły między sobą rozgrywki o mistrzostwo Kolegium. Dotąd rozegrano dopiero 4 mecze, w tym trzy między kl. IV. a III. (Wszystkie wygrane przez kl. IV. w stosunku 2:0; 2:0; 2:1;) i jeden między, II i I (na korzyść II w stosunku 2:0). Poza siatkówką miała pokup między juniorami gra w palanta.

Dnia 5 grudnia zawitał do nas św. Mikołaj. Wprawdzie oczy nasze nie oglądały jego sędziewej postaci, ale za to nasze podniebienia mogły się skutecznie przekonać, że nie lada są w zaświatach delicje, z których nam coś niecoś udzielono. Niestety, nie tylko św. Mikołaj nawiedził nasze niskie progi kolegiálne, ale jeszcze ktoś więcej, bo ci i owi znaleźli także różgi na swoich łózkach, których z pewnością dobry Niebianin nie nosi ze sobą... Ha, trza było przyjąć i to... Za jedno i drugie „Bóg zapłać”!

Tegoż dnia t. j. 5 grudnia, przybył do nas nasz nadzwyczajny spowiednik, O. Dr. Hipolit Legowicz, który dopomógł nam oczyścić serca i dusze z naleciałości grzechowych tak, że chociaż na polu teraz ponuro i dżdżysto, to za to u nas jasno i pogodnie. I za to również „Bóg zapłać”.

Ofiary na Drukarnię w Radecznicy, za Kalendarz i na Młodzież Seraficką złożyli:

OO. Bernardyni — Lwów 175 zł, Ks. K. Czekalski — Wieliczka 5 zł, Ks. St. Gulbinowicz — Równe Wołyń. 3 zł, Ks. St. Szczepanek — Tworczów

2 zł, Ks. M. Płaza — Horyszów Pol. 2 zł, p. Ryś Anna — Michałkowice 2 zł, Ks. St. Galusiński — Niedzwica 2 zł, Ks. J. Jędrzejewski — Pawłów 1.50 zł, Ks. T. Tyrankiewicz — Lwów 10 zł, Ks. Prof. J. W. Samolej — Biłgoraj 3 zł, OO. Bernardyni — Rzeszów 11 zł, Ks. C. Koziołkiewicz — Biłgoraj 5 zł, Ks. S. Redas — Sól 2 zł, OO. Bernardyni — Alwernia 10 zł, Ks. Inf. W. Hartman — Zamość 6 zł, Ks. W. Bojarczuk — Zakrzówek 5 zł, Ks. Wł. Goliński — Wierzchowiska 1 zł, O. A. Gabor — Wieluń 4 zł, Ks. St. Cieślik — Chełm Lub. 3 zł, Ks. Wł. Tchorzewski — Kraśnik 1.50 zł, p. Łutowiczówna E. — Koprzywnica 4 zł, Ks. A. Zieliński — Brzeźnica Książęca 1 zł, p. J. Solecki Ostoją — Maksymówka 2 zł, Ks. I. Stachurski — Puszcza Solska 1 zł, Ks. K. Bobrocki Czerniejów 1 zł, p. G. Bączkowski — Radecznica 5 zł, OO. Bernardyni — Dukla 5 zł, Ks. Panecki — Dzwola 1 zł, p. Inż. J. Wyszyński — Klemensów 25 zł, Par. Motycz 0.50 zł, p. Pułk. M. Turkowski — Zamość 5 zł, p. St. Paduchówna — Hrubieszów 4 zł, p. M. Rubaj — Warszawa 2 zł, p. M. Łabędkowski — Wierzchowina 3 zł, Dr Z. Klukowski — Szczepieszyn 1 zł, OO. Bernardyni — Piotrków Tryb. 10 zł, p. E. Lackorzyński — Radecznica 5 zł, OO. Bernardyni — Kalwaria Zebrzyd. 5 zł, p. J. Zawiślak — Gdynia 3 zł, p. W. Hajkowska — Cieszyn 5 zł, p. J. Swoboda — Zamość 5 zł, p. L. Łaszewski — Rzeszów 2 zł, p. F. Bednarczyk — Rzeszów 2 zł, Ks. J. Zyszkiewicz — Melgiew 1.30 zł, p. K. Gałuszka — Tarzymiechy 1.50 zł, p. B. Huskowska — Czernięcin 1.50 zł, Pp. Kucharskie — Radecznica 5 zł, Ks. Kapalski — Szczepieszyn 5 zł, p. Janczewski — Mokrelipie 2 zł, p. Dr Gawlik — Radecznica 1 zł, Ks. Miszeruk — Tomaszów Lub. 2 zł, Ks. Borsukiiewicz — Zwierzyniec 2 zł, Jan Prypka 2 zł, Klasztor OO. Bernardynów — Kraków 5 zł, Ks. prob. — Karczmiska 1 zł, Ks. Dominik Bojakowski — Horodło-lub 1 zł. 40 gr, Ks. Tarnasiewicz — Batorz 2 zł, Józef Pęczka — Świlcza 1 zł, O. Ewaryst Górski — Dżurków 3 zł. 10 gr, Ks. Jan Majsterski — Susiec 4 zł.

Zjednaj choć jednego prenumeratora!

Ofiary na fundusz pras. i na drukarnię

prosimy składać na konto PKO. nr 67.323.

ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ ŚWIECKIEJ I ZAKONNEJ.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny O. Jan Duklan Michnar. Odbito w Drukarni OO. Bernardynów w Radecznicy.